№ 39. Warszawa, dnia 29 (17) Września 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Urzeczywistniając w dalszym ciągu nasz plan dostarczania abonentom *Prawdy* w jej dodatku kwartalnym wyborowych dzieł z rozmaitych dziedzin wiedzy, do numeru dzisiejszego dołączamy pierwszy zeszyt

ANTROPOLOGII

E. TYLORA

w przekładzie A. Bąkowskiej, tłomaczki Morgana.

Wysoka wartość tej książki została ogólnie stwierdzoną, a mniemamy, że i jej staranny przekład, zarówno swoją ścisłością, jak i poprawnością językową odpowie wymaganiom naukowym. Jednocześnie dla obznajmienia czytelników z bieżącemi zagadnieniami antropologii, drukujemy w *Prawdzie* szereg artykułów L. Krzywickiego. Czytelnicy więc nasi po tem polu badań mogą rozejrzeć się dokładnie.

Nakładem naszym wyjdzie w przyszłym tygodniu

PORADNIK LEKARSKI

d-ra F. Rajkowskiego.

Będzie to (encyklopedycznie ułożona) książka, wskazująca we wszystkich ważniejszych wypadkach niezdrowia środki zaradcze, lecznicze i hygieniczne. Ułożeniu jej i wydaniu przewodniczyła myśl, że jakkolwiek najwłaściwszym i najumiejętniejszym doradcą w każdej chorobie jest lekarz, bywają położenia, w których możność i obowiązek pomocy spoczywa jedynie na opiece domowej. Ludzie biedni, mieszkający zdala od miast, wreszcie zaskoczeni nieszczęściem nagle, muszą natychmiast spieszyć z ratunkiem, o którym często nie mają żadnego wyobrażenia. Idzie o to, ażeby ów ratunek był możliwie najumiejętniejszym i najskuteczniejszym. Jeżeli zaś posiadamy w domu poradniki kucharskie, to chyba potrzebniejszym jest lekarski, który nieraz może uratować życie człowieka lub osłabić niebezpieczeństwo, zanim je doktór usunie.

Drugą część książki stanowi wykaz środków Apteczki domowej.

Nasz Poradnik kosztować będzie (w oprawie) rs. 1, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 20.

POLITYKA.

GŁOS Z GROBU.

Dziś, zamiast chwili bieżącej, zajmą nas wspomnienia, ale wspomnienia niezbyt odległe i bardzo pouczające.

Miesięcznik *Deutsche Rundschau* ogłosił urywki z pamiętników Fryderyka III. Ułamki te (z r. 1870 i 71), niezwiązane żadnym ciągiem a pisane nieraz stylem telegraficznym, są bardzo ciekawe jako rysy wypełniające kontur zmarłego „humanisty," ale zawierają one nadto wiele szczegółów historycznej wagi, prostujących dotychczasowe poglądy na rodowód cesarstwa niemieckiego. Dzięki im, Wilhelm I, jego syn i Bismark stają przed nami w odmiennem świetle.

Zaraz na początku zapisek spotyka nas niespodzianka: ówczesny następca tronu do ostatniej chwili mniemał, że wojna z Francyą da się zażegnać. Dopiero kiedy wyjechawszy naprzeciw cesarza, wracającego z Ems, do Brandenburga, wysłuchał sprawozdania Bismarka, który „tym razem unikał zwykłych swoich żarcików," uwierzył w konieczność starcia. Od tej chwili żyje myślą zupełnego zjednoczenia Niemiec. Obejmuje powierzone mu dowództwo nad armią południową z niechęcią i trwogą, gdyż nie ufa zarówno zdolności żołnierzy (niepruskich), jako też usposobieniu ludów Rzeszy i książąt. Ale powszechny zapał niemców południowych dodaje mu ducha. Dnia 4. sierpnia odnosi zwycięztwo pod Weissenburgiem, które rozpala mu jaśniej gwiazdę przewodnią — ideę zjednoczenia. „Musimy — pisze wtedy — dać narodowi coś całkowitego, dotykalnego; trzeba żelazo gabinetów niemieckich kuć, póki gorące." W kilka tygodni potem uczestniczy w naradzie z królem, Bismarkiem i Moltkem; stary feldmarszałek wyraża swoje zdanie jasno, stanowczo, radzi iść na Paryż; Bismark „umiarkowany i niekrewki," zaleca ogledność. Przy sposobności ks. Fryderyk z wielkim trudem wyjednywa u ojca, ażeby krzyż żelazny dawany był nietylko prusakom. I w tej sprawie bowiem pragnie on być „tylko niemcem," zatrzeć różnice „między 33 ojczyznami." Po Sedanie miał rozmowę z Bismarkiem. „Zaledwie potrąciliśmy myśl o cesarstwie, spostrzegłem, że Bismark oświadczał się za nią tylko *warunkowo* i ostrzegł mnie, ażebym zbyt nie napierał." Trapi go obawa, czy „wynik wojny odpowie słusznym oczekiwaniom narodu niemieckiego" — mianowicie, czy zwycięztwo przyczyni się do przeobrażenia państwa w duchu liberalnym. Obiecuje sobie i przyrzeka, że jest to ostatnia wojna, w której on udział bierze, i że jako panujący poświęci się wyłącznie pracy pokojowej, rozwiązaniu zagadnień społecznych i rozszerzeniu swobód. Wątpi, ażeby ludzie stojący wówczas przy sterze sprzyjali tym jego marzeniom, ale wierzy, że przyszłość, do której on należy, zadanie postępu spełni. Wyznaje nawet, że nie żywi żadnej nienawiści do francuzów i że będzie się starał o przywrócenie z nimi zgody.

Logicznem rozwinięciem jego idei była chęć wskrzeszenia cesarstwa niemieckiego.

Ale ciągle napotykał twardy opór przedewszystkiem w ojcu, który z początku o tem nawet słuchać nie chciał i uległ dopiero Bismarkowi, zjednanemu powoli dla tego zamiaru. Bismark — powiada autor pamiętnika — wyznał, że „w r. 1866 pobłądził, traktując *obojętnie* kwestyę cesarstwa, gdyż nie przypuszczał, że naród tak gorąco pragnie tej godności.“ Państwowemu jednak zjednoczeniu Niemiec z dwoma Izbami i ministrami odpowiedzialnymi przeciwstawiał się ciągle, zalecając odłożenie tego planu na później i wysuwając coraz nowe trudności. Z tego powodu przyszło nawet do wymiany słów ostrych. „Bismark oświadczył — powiada zmarły monarcha, który nastawał na działanie energiczne — że słowa moje mogą wywrzeć wpływ szkodliwy i że wogóle jako następca tronu nie powinienem wypowiadać takich poglądów. Zastrzegłem się natychmiast i stanowczo przeciwko zamykaniu mi w ten sposób ust, zwłaszcza w sprawie, która dotyczy przyszłości; uważam to za swój obowiązek niepozostawiać w nikim wątpliwości właśnie co do moich zapatrywań; zresztą król tylko ma prawo robić mi uwagi nad tem, co mówię, jeżeli wogóle nie jestem uznany za dosyć dojrzałego, ażeby mieć swoje zdanie.“ Sprzeczkę tę złagodzono.

Rozpoczęły się układy. Znudzony ich przewlekłością, książę „odświeża się“ czytywaniem *Volkszeitung*, którą minister wojny Roon... zabrania rozpowszechniać. Nareszcie przybywa od biednego waryata z Monachium poprzednio przez Bismarka ułożony list, ofiarujący królowi pruskiemu godność cesarską. Dzięki niezmordowanym zabiegom Fryderyka i jego współpracownika w tem dziele w. ks. Badeńskiego a wreszcie pomocy Bismarka przygotowania zbliżają się ku końcowi. Już tylko trwa spór o tytuły (cesarz Niemiec, czy cesarz niemiecki); Bismark ze swego (kanclerz państwa) niezadowolony, gdyż podobnego używa Beust, co „wprowadza go w złe towarzystwo.“ Król jednak pomimo zgody nie chce rozstać się ze swoją pruszczyzną. „Gdy wspomniałem o historyi domu naszego, odrzekł: „Syn mój jest całą duszą w nowym porządku rzeczy, podczas gdy ja sobie z tego nic nie robię i tylko Prus się trzymam.“ Nakoniec odbył się akt koronacyi w Wersalu.

Wybraliśmy z pamiętnika jedynie te szczegóły, które mają ogólniejsze znaczenie i oświetlają bohaterów z nowej strony. Czytelnik zauważył, że one prostują dotychczasowy sąd historyi współczesnej w wielu punktach. Według nich tedy głównym twórcą, wyznawcą i obrońcą idei państwowego zjednoczenia Niemiec był najmniej o to podejrzywany ks. Fryderyk (III); jej zaś przeciwnikiem, mozolnie pokonanym— Bismark, wrogiem zaś, broniącym się do ostatka — król pruski a późniejszy cesarz niemiecki. To odkrycie wywraca całkiem powszechną wiarę, która właśnie Bismarkowi i Wilhelmowi I przypisywała tę zasługę. Wbrew ogólnemu mniemaniu, pod światłem tych zapisek Wilhelm I występuje jako zawzięty, niepogodzony z nowym porządkiem rzeczy prusak, kanclerz jako niezmiernie ostrożny i zwlekający dyplomata, tylko Fryderyk uosabia energię i niemieckość.

Że ta zmiana ról nie podobała się pismom konserwatywnym i kanclerskim zrozumieć łatwo. Złorzeczą one wydawcy miesięcznika, złorzeczą „fałszerzowi,“ złorzeczą „niedyskretnej“ ręce, która podniosła zasłonę, ukazała pół-boga w postaci zmniejszonej i rzuciła w teraźniejszość hasła liberalne. Ten odzywający się z grobu głos sprawia głębokie a dla wielu niepożądane wrażenie, które sięgnie może aż do tronu. Niepodobna bowiem przypuścić, ażeby panujący obecnie monarcha niemiecki wysłuchał obojętnie tej wzruszającej mowy zmarłego ojca. Przejmuje ona obcych a tem bardziej syna, nie przebrzmi też bez wpływu.

AUGUST TREFORT.

„Pisząc o mnie wspomnienie pośmiertne, bądź pan łaskaw streścić moje hasła w tych tylko słowach: „Więcej dzieci, więcej szkół i więcej fabryk. Kraj nasz nie cieszy się wielką liczbą ludności; nadto sam szczep węgierski jest również nieliczny. Jeżeli więc chcemy zachować państwo węgierskie, to muszą nasze żony rodzić tak często, jak kobiety plemion słowiańskich, wśród nas mieszkających. Ich olbrzymia bowiem płodność grozi nam zgubnym zalewem. Potrzebujemy dużej ilości szkół, żeby dogonić postęp Zachodu; musimy nawet sztucznie i gwałtownie podtrzymywać i rozszerzać nasz przemysł, inaczej bowiem zadławi nas nędza.“

W ten sposób odpisał przed rokiem węgierski minister oświaty, Trefort, dziennikarzowi, proszącemu go o szczegóły do życiorysu. Przed miesiącem spoczął ów krzewiciel oświaty w mogile, a niemal wszystkie zagraniczne dzienniki obszernie oceniły jego działalność. U nas pojawiły się zaledwie dwie krótkie wzmianki.

A przecież właśnie my powinniśmy byli troskliwiej obejrzeć owoce jego życia, gdyż zmarły był zapamiętałym wrogiem Słowiańszczyzny. Stąd pochlebne i przyjazne wzmianki gazet wiedeńskich i niemieckich, stąd kir na łamach zapalczywych madyarskich dzienników. Z krwi i pochodzenia do węgrów nie należał, gdyż jego dziadek uciekł z Francyi przed rozszalałą burzą rewolucyjną, dla podniesienia dobrobytu i potęgi Węgier jednak pracował aż do ostatniej chwili. I w tej pracy swej, dążąc do raz wytkniętego celu, rozwinął tyle zaciekłości, zapalczywej i srogiej, na ileby nie zdobył się ten, w którego żyłach płynie czysta krew madyarska. Zresztą znane to wszędzie zjawisko.

Jego życie przedstawia dziwny rozdźwięk między zasadami, a czynem. Uchodził i ogłaszał się wyznawcą haseł wolnomyślnych, które raz po razu wypisywał na czele swych licznych artykułów dziennikarskich: „Nie sądzimy, że dobrobyt pojawi się sam przez się. W ten sposób bowiem powstaje tylko bieda i ciemnota. Tylko pracą, wytrwałą i pilną, zdobyć można dostatki i oświatę.

MÓJ PRZEWODNIK

przez

Karola Schönfelda.

W noc ciemną doszedłem do przełęczy (Passhöhe), napróżno w drodze usiłując jakąkolwiek z przewodnikiem zawiązać rozmowę. Ugodziłem się z nim na dolinie, aby mi mój pakunek zaniósł do gospody, która turystom, pragnącym nazajutrz odbyć wycieczkę na lodowce, ofiarowała schronienie.

Na pytanie, czybym na jutro nie mógł mieć dobrego przewodnika, odpowiedział gospodarz przecząco — wszyscy bowiem mężczyźni byli wówczas w drodze. „Ale — ciągnął dalej, rzucając ukośne spojrzenie na mego towarzysza — Halbacher poprowadziłby pana; chociaż on tego chętnie także nie uczyni, bo na ten tam lód wysoko patrzeć nie może.“ „Głupie gadanie — zabrzmiały słowa z ust Halbachera — jeżeli ten pan chce, to gotów mu już jestem służyć.“ Wstał, zlekka się ukłonił i wyszedł za próg domu.

Starałem się naturalnie dowiedzieć od gospodarza, co za okoliczności wywołały dziwną antypatyę, z jaką ukazał na przewodnika; ale ten wymijająco odpowiadał na wszystkie pytania. Polecił mi tylko jeszcze raz Halbachera, jako człowieka, któremu zaufać można, i pozwalał się jedynie domyślać, że jest on bohaterem jakiegoś osobliwego zdarzenia.

Nazajutrz puściliśmy się w drogę. Mój towarzysz źle wyglądał — zdawał się być niewyspanym. Baczną na niego zwróciłem uwagę. Mógł mieć około 45 lat; oblicze jego cechował jakiś wyraz odrętwienia, który jeszcze bardziej uwydatniało nerwowe drganie ust i nozdrzy, podczas gdy oczy, dziwnie odbijające od surowych rysów, były jasnobłękitne i łagodne.

Im wyżej wznosiliśmy się, tem bardziej był wzruszonym, a gdy od czasu do czasu przy bryłach skalistych dla odpoczynku stawałem, miałem sposobność zauważyć, jak bladł i wysilał się, by rosnące wzruszenie przedemną ukryć.

— Macie coś na sercu — powiedziałem do niego — czybyście nie chcieli ulżyć sobie i mnie się z tem zwierzyć? Możecie mi zaufać, że nie prosta ciekawość pobudza mię do tego pytania.

Mówiąc to, napełniłem szklanki i stuknąłem się z nim. Wypróżnił swą szklankę za jednym pociągiem, usiadł naprzeciwko mnie, na odłamie skały, i tak mówić począł.

— Wy, panie, jesteście pierwszym podróżnym, jakiego od dwu lat oprowadzam. Ponieważ, wbrew głupiej gadaninie gospodarza, powzięliście do mnie zaufanie, wszystko wam chcę opowiedzieć. Rodziców swych nie znałem; umarli, gdym był jeszcze bardzo mały. Gmina oddała mię pod opiekę rodziny jednego z przewodników, gdzie z początku pomagając, nosiłem pakunki cudzoziemcom, aż, doszedłszy do lat, sam przewodnikiem zostałem. Byłem szczęśliwy, zadowolony i swe góry miłowałem nad wszystko... Ha, nieprawda, jedną istotę w świecie bardziej jeszcze kochałem... Była to Anna! Dla niej byłbym wolną naturę bożą i góry porzucił, aby kopać węgle pod czarną ziemią, w jakim szybie głębokim. Była ona córką moich opiekunów i wraz ze mną wzrastała. Jej matka była dawniej kelnerką w wielkim hotelu nad jeziorem, a ludzie opowiadali, że dlatego jedynie opiekuna mego zaślubiła, żeby ukryć swą hańbę; bo Anna, jak mówiono, była córką jakiegoś znakomitego urodzeniem, cudzoziemskiego pana, który przybranemu ojcu pieniądze dawał za to, że ten ją za swe dziecko uznał... I tak, zaprawdę, być musiało; bo Anna była całkiem niepodobna do dziewcząt z okolicy. Piękną była, niby jaka dama znakomita: miała płeć białą, delikatną i długie włosy, które pod blaskiem słońca lśniły się, jak złoto, a rączkę i nóżkę tak małą, jak dziecko. Była ona przytem dzika i samowolna; czego zapragnęła, to stać się musiało; ja też robiłem, co chciała i sięgałem dla niej po wszystko, co tylko oczyma dojrzeć mogłem. Po wszystkich szlakach szczytowych biegała i była zawsze na przedzie, zawsze pierwsza — gdzie było najniebezpieczniej; nikt bo lepiej nad nią nie znał drogi, i gdy po jej stronie lawina z grzmiącym spadała szumem, pokrzykiwa-

Na los spuszczać się jest rzeczą niebezpieczną, bo ma on dwie twarze: uśmiechniętą i chmurną. A więc tylko praca, praca, i jeszcze raz praca przyniesie nam upragnione powodzenie." Widzimy tedy, że Trefort liczył się do zwolenników t. zw. pracy organicznej, która przed laty dwudziestu miała i u nas zaciętych zwolenników i zapalonych wrogów. Lecz szedł on dalej, bo wygłaszał zdania, tchnące podniosłym idealizmem. Oto kilka z nich: „Nieprawdą jest jakoby światem rządził tylko pieniądz, rządzi nim bowiem i myśl." „Świat, olśniony blaskiem sławy, całą zasługę zwycięztwa przypisuje zwykle dowódcy, zapomina zaś, że nad jego uzyskaniem pracowało setki również zdolnych, tylko mniej szczęśliwych pomocników."

Wątpimy przecież, czy bez wyrzutów sumienia mógł napisać, te słowa: „Terroryzm należy zawsze potępić, bez względu skąd i dlaczego płynie. Rodzi bowiem wyłącznie złe następstwa, zarażające tego, kto się nim posługuje." W tej samej bowiem chwili powinny mu stanąć przed oczyma liczne szkoły i stowarzyszenia słowackie, które on samowolnie zamknął; wiele nauczycieli słowackich, pozbawionych chleba, mnóstwo uczniów, wypędzonych ze szkół, za to tylko, że nie chcieli myśleć i mówić po węgiersku, powinno było pojawić się tuż przy jego boku.

Dla innych ras był łaskawszym. Oto, jak potępił antysemityzm: „Jest to choroba, zjawiająca się w każdem stuleciu, przynajmniej dwa razy. Przychodzi, potem znika. Smutna to jednak rzecz, że ruch ów popierają księża katoliccy, gdyż jest niechrześciańskim, a więc i niekatolickim. Prawdziwy chrześcianin nie prześladuje ani żadnej rasy, ani żadnego wyznania, tembardziej więc powinien szanować obrzędek żydowski, gdyż Jezus Chrystus i apostołowie byli żydami. Lecz ruch ów ma swe źródło gdzieindziej. Oto nie religijnym, lecz ekonomicznym nazwać go trzeba. Antysemici żydom zazdroszczą dostatków. A skoro już raz pewne żywioły zaostrzą sobie apetyt, to wkrótce nie zadowolnią ich pieniądze żydowskie; majątki biskupów, księży i hrabiów katolickich wnet obudzą ich pożądliwe pragnienie. Ruch ów więc nietylko zbyteczne, lecz i szkodliwe pociągnie za sobą skutki." Słowom tym przyznamy tem większą wartość, jeżeli uprzytomnimy sobie, jak wielka ilość ziemi węgierskiej pozostaje w rękach *kilkunastu* biskupów i *kilkudziesięciu* magnatów, wzdychających za feudalnemi urządzeniami.

Treforta tedy przyrównać można do centralistów wiedeńskich. Jego mowy, które często lubił wygłaszać czy to jako minister, czy to jako prezes węgierskiej Akademii umiejętności, są pełne poglądów liberalnych. Lecz wypowiadał je tylko wobec węgrów i dla węgrów. Dla tych ostatnich w jego rozumowaniu wszystko stało otworem: szkoły, katedry, urzędy, biskupstwa, udogodnienia ekonomiczne i przywileje obywatelskie. Słowak zaś, właściwy pan tej ziemi, na której węgier przed wiekami rozgościł się — to wyrzutek, który do wyboru ma tylko dwie drogi: albo umrzeć z głodu, albo też porzucić ojczysty pień, przybrać madyarskie nazwisko, a z tem ostatniem i ducha i zwyczaje węgierskie.

Trefort nie był postacią odosobnioną, nie on jeden takiemi rządził się zasadami. Wyrósł i działał, jak nieodrodny syn swego czasu, jako dziecko narodu, do którego jego dziada przeciwne zapędziły losy. Każdy węgierski mąż stanu jest zarazem agitatorem narodowym; chętnie podaje dłoń niemcowi, byle tylko do szczętu wygubić plemiona słowiańskie, które ujarzmił. Dzisiejszy sojusz Austryi z cesarstwem niemieckiem słusznie uchodzi za dzieło węgrów. O tem ich wrogiem usposobieniu dla słowian nie pamiętają jednak galicyanie, śpiewając na dawną nutę znaną piosenkę: „Węgier, polak, dwa bratanki itd." Węgrzy postępują daleko chytrzej. Zgodnym chórem śpiewają z nimi ową pieśń, zawracają im głowę rozmaitemi obietnicami, a sami, ile razy tylko nadarzy się sposobność, robią dobre interesa ze szkodą przyjaciół. Wszyscy pamiętają jeszcze słynną sprawę naftową, lub gorzelnianą.

Przyznać potrzeba, że właśnie ową bezwzględnością i chytrością węgierskich mężów stanu naród ich coraz silniejsze, coraz bardziej wpływowe zajmuje stanowisko w monarchii, na dwie części podzielonej. Już niedalekim jest czas, kiedy król węgierski więcej będzie znaczył, aniżeli cesarz austryacki, kiedy nie w Wiedniu, lecz w Peszcie leżyć będzie środek ciężkości całego państwa. A wtedy nad niektóremi przynajmniej plemionami słowiańskiemi w Austryi zawiśnie jeszcze większa bieda, cięższy ucisk, aniżeli obecnie. Owa zaś bieda, ów ucisk będzie moralnym spadkiem, pozostałym po Treforcie. Wychowańcy bowiem szkół, przez niego urządzonych, księża, kształceni podług jego programu, będą stróżami i wykonawcami praw, uchwalonych przez silnych na niekorzyść słabych.

A. Witski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Już nie stado, ale chmura os wybiegła z prasy niemieckiej i rzuciła się na wydawcę notatek Fryderyka III. Pomijając bowiem zawarte w nich wyjaśnienia i wiadomości, które wyciągnęły twarz niejedną, wysoce nieprzyjemnem a nawet nieszczęsnem dla stronnictw sterowych jest ogłoszenie owych pamiątek w chwili, kiedy Prusy mają wybierać sejm nowy. Czytelnik, oddalony od tego pola zażartej walki interesów i samolubstw, nie ma nawet przybliżonego pojęcia o znojach, wysiłkach i łamaniach głów przy układaniu odezw wyborczych, które powinny być tak napisane, ażeby najskuteczniej okłamały naród, obiecywały wszystko a pozwoliły nie dotrzymać niczego, prześlizgiwały się między sprawami drażliwemi i jednocześnie nie przeczyły godłom chorągwi. I właśnie, kiedy w pocie czoła konserwatyści, wolno-konserwatyści i narodowo-liberalni, trzy partye, do których należy teraźniejszość, wypracowali swoje ćwiczenia i rozrzucili po kraju, występuje duch Fryderyka III, który zadaje kłam całej ich gadaninie i wzywa naród do rozwijania się w duchu liberalnym. Wszystkie artykuły dziennikarskie, wszystkie wykrzyki, mowy tysiąca Richterów i Hänelów nie sprawiłyby tego skutku, co kilkanaście uwag, skreślonych ręką zmarłego monarchy. Stronnictwo postępowe mogło zrzec się głosu do wyborców, gdy do nich przemówił w jego imieniu Fryderyk III, a przemówił niemal wszystkimi organami prasy niemieckiej. Takiego „przekreślenia rachunku" konserwatyści i ich orszak nie spodziewali się.

Wpływ pamiętników nieboszczyka sięgnie jeszcze dalej. Obecną konstytucyę Niemiec uważał on za „sztucznie wytworzony

---

ła radośnie, jak gdyby ten huk był muzyką dla niej. Jej matka zrobiłaby była zawsze z niej chętnie to, czem była sama; ale Anna przyobiecała mi, że zostanie moją żoną i tak byliśmy zaręczeni przed Bogiem i ludźmi.

Raz, gdym po kilkodniowej nieobecności wracał do domu, zdarzyło się coś okropnego. Przybył jakiś młody anglik i pomimo niepogody, postanowił zwiedzić niebezpieczny szlak nad „gładką ścianą." Gdy wszyscy się wzdragali, Anna, która miała zawsze słabość do anglików, ofiarowała swe usługi. Onegdaj wyruszyli i dotąd żadnego po nich śladu. Wszelkie poszukiwania daremne — i już opłakiwaliśmy ją, gdy oto nadchodzi list — w nim dużo pieniędzy i doniesienie, że anglik ją wziął ze sobą, że jest szczęśliwa — wszystkich pozdrawia — Józefa Halbachera także. Porzuciłem wtedy dom swych opiekunów i daleko, aż tu przyszedłem, gdziem już nic o nich nie słyszał.

Od owego czasu ubiegło dwadzieścia jeden lat; ale nie było takiego dnia, w którymbym nie pomyślał o Annie.

Przed dwoma laty kazał mię gospodarz zawołać na przełęcz i powiedział, że jakiś pan ze swą żoną chce wycieczkę odbyć na lodniki. Przychodzi do mnie ów jegomość, umawiamy się, biorę prowiant i idę. Po czterech godzinach stajemy tu, na tem miejscu. Rozpakowuję żywność, ale jak tylko w twarz pani spojrzałem, zdawało mi się, że mię piorun poraził — bo ona to była, Anna! Mąż każe mi iść po wodę do picia. Jak we śnie, idę tam w górę do źródła, obléwam twarz i tył głowy, aby się uspokoić. Podczas gdy ona nie ma żadnego przeczucia, że jestem w pobliżu, ległem na ziemi, w ustroniu, od tysiąca myśli i bolu serca dręczony, bo wskrzesła dawna miłość w swej pierwotnej sile — gdy ona swawolnie śmiała się i żartowała z tym, który mi skradł szczęście całego życia.

Wyruszamy — napół pozbawiony zmysłów, idę przez lodowiec do Gratu, miejsca wyjątkowo niebezpiecznego; ona jest w środku pomiędzy nami dwoma. Tam, gdzie trzeba dać susa, aby spadzisto urwisko co prędzej przebyć, obracam się i podaję rękę. Ona suknię wysoko podwija, ściąga rękawiczki i zdejmuje kapelusz, tak, że jej włos igra z wiatrem, a ja myślę, ja widzę ją przed sobą znów taką, jaką była przed dwudziestu laty. Swe nożęta wypręzając do skoku, wyciąga ku mnie rączkę gorącą. Porywam ją i spoglądamy sobie oko w oko. Przebiega po mnie dreszcz śmiertelny — zaczynam się trząść w całem ciele, i mimowoli — przysięgam, niech mi Bóg tak dopomoże! — imię jej cichutko przez moje wargi przechodzi. Wlepia we mnie oczy, wyrywa potem, przerażona, swą rękę z mojej — traci równowagę — wydaje krzyk i w naszych oczach spada w przepaść. Mąż, właśnie wtedy, gdy starałem się ująć ją za ubranie, aby od zguby ocalić, chwycił mię przypadkiem za rękę, tym sposobem siebie i mnie od śmierci ratując. W pierwszej chwili powziąłem zamiar, by wraz z tym, który całego nieszczęścia był sprawcą, w otchłań runąć; ale przyszło mi na myśl, że jeszcze ją uratować można. Biegnę niezwłocznie na dolinę... z pomocą. Naprożno! Nie udało się nawet jej zwłok ocalić, które tam, wysoko w wiecznym spoczywają lodzie i śniegu. On jej kazał pomnik z czarnego postawić marmuru — widzisz pan, tam, wprost, na najwyższem polu śniegowem, jaśnieje w blasku słonecznym."

Ostatnie słowa ledwo dosłyszalnym wymówił głosem i ciężkie łzy potoczyły się po strapionem licu, na brodę. Dłoń jego w swoją ująłem i ściskałem silnie, aż się podniósł i do odejścia począł przygotowywać. Powiedziałem mu jednak, że się zrzekam wycieczki i nazad powrócić wolę.

W biegu lat wyszedł mi on zupełnie z pamięci, aż przed niejakim czasem imię jego, gdy przeglądałem drobne notatki dziennikarskie, uderzyło mię niespodzianie. Wiadomość ta brzmiała: „Józef Halbacher, przewodnik po górach, na szlaku lodowcowym przepadł. Musiał on, według zeznania towarzysza, przy osławionem urwisku, nagłego dostać zawrotu; bo nie poślizgnąwszy się, nie wydawszy nawet głosu, w jego oczach runął w przepaść. Zwłok nie znaleziono."

Biedny mój tedy przewodnik połączył się w końcu ze swą Anną — na całą wieczność.

Tłom. *B.*

chaos“ i zalecał ustanowienie dla Rzeszy dwu Izb oraz ministeryów odpowiedzialnych. Dzięki Bismarkowi, który myślał przedewszystkiem o wyposażeniu swego kanclerstwa najrozmaitszemi władzami, projekt ten nie utrzymał się, ale partya postępowa wnosiła go ustawicznie i—zdaje się—znalazła niejaki posłuch u obecnego cesarza. Ciągle powtarzane wieści o ustąpieniu Bismarka, o rozłożeniu jego urzędu na pojedyncze pierwiastki, o wytworzeniu ministeryów samodzielnych (w Niemczech na czele rządu stoi tylko kanclerz, który ma podsekretarzów stanu) — zdradzają dojrzewanie myśli, którą w swej duszy piastował Fryderyk III. Doprawdy dziwną rolę odegrał ten człowiek: trzymany zdala od rządów, dotknięty straszną chorobą, panujący zaledwie 99 dni, osaczony przez nieprzyjaciół — zaczyna potężnie oddziaływać na życie polityczne swego narodu — z grobu.

W Madrycie hańba i smutek zamknęły oczy do snu wiecznego człowiekowi, który żył długo jak bohater a umarł jak wyrzutek. We wszystkich bowiem niemal wielkich wyprawach wojennych od r. 1831 do 1870 Bazaine uczestniczył a w niektórych imię jego rozbrzmiewało głośno: widzimy go w wojnie karlistowskiej, krymskiej, włoskiej, meksykańskiej, wreszcie francusko-pruskiej. Ta ostatnia położyła kres jego działalności i pozbawiła go wszystkich poprzednio zdobytych wawrzynów. Oblężony w Metzu poddał się z 173 tysięczną armią ks. Fryderykowi Karolowi. Zarzut zdrady padł na niego odrazu; ale dopiero po skończonej wojnie za prezydentury Mac-Mahona, głównie wskutek oskarżeń Gambetty, wytoczono mu proces: sąd wojenny skazał go na karę śmierci, którą zamieniono na 20-letnie więzienie w twierdzy. Niedługo wszakże udało się żonie wykraść więźnia. Odtąd tułał się po Szwajcaryi, Belgii a wreszcie osiadł w Madrycie, gdzie umarł pod piętnem niezmytej hańby, opuszczony nawet przez własną żonę, bogatą meksykankę, która poślubiła go z próżności i porzuciła, przekonawszy się, że do władzy i znaczenia nigdy nie wróci. Od lat paru ciągle mnożyły się głosy, usiłujące go usprawiedliwić i nakłonić sumienie narodu do naprawienia wyrządzonej mu krzywdy. Rzeczywiście wina jego pozostała wątpliwą. Jeżeli więc nie zasłużył na tak straszną karę, to rzeczywiście przyznać trzeba, że wycierpiał jedną z najokrutniejszych męczarni, jakie człowiek wycierpieć może.

Rubel tak dumnie i szybko kroczy w górę, że dosięgnął już wysokości (222 fenigów), o której dawno nie marzył. Dotąd nikt jeszcze nie wyjaśnił należycie przyczyn tej jego zwyżki. Wprawdzie na pokrycie świeżo wypuszczonych 15 milionów rs. biletów papierowych złożono wobec przedstawicieli władz i świata finansowego w Banku państwa takąż sumę złotem, wprawdzie skutkiem nieurodzajów w Niemczech spodziewane są wielkie zakupy zboża ruskiego, ale to wszystko nie tłomaczy jeszcze tego tryumfalnego pochodu rubla.

Zamęt wywołany sprawą Strossmayera dotąd nie uspokoił się. Jak stwierdzono, cesarz austryacki miał rzec do niego: „Wysyłając swój telegram do Kijowa musiałeś pan być chyba nieprzytomny, chory.“ Nie sprawdziła się wiadomość o powołaniu biskupa do Rzymu i widocznie dalszy ciąg tego zajścia okryto tajemnicą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

(*Cześć prochom*).

Co wspólnego mieć może z życiem społecznem — cześć znakomitym oddawana prochom? Czyż krwawo pracując dla jutra, łzami i potem rozczyniając twardy chleb przyszłości, możemy, jak prastary Cheops lub Chefren egipski, bawić się w piramidy? Czyż nie lepiej, grób zaorawszy, na odwiecznym nawozie posiać ziarno pszeniczne? Czyjś tam sarkofag się rozpada... Tem lepiej! Niech matka ziemia swą daninę odbierze. Starożytni grecy wznosząc nad Alfeusem, ku upamiętnieniu oblicza zwycięzkich zapaśników, kamienno w wawrzynowym gaju posągi, byli młodzi i szczęśliwi; mogli więc, pod ułudnem godłem nieśmiertelności, rozkosznie, jak dzieci, igrać w promieniach słonecznych. Wolno było Ludwikowi I, królowi bawarów budować pod Regensburgiem, w porze rekreacyi dziejowej, marmurowy gmach Walballi... Ale czyż my, codziennym oddani troskom, możemy obecnie myśleć o zachowaniu szczątków Panteonu?.. *Gazeta radomska* we wstępnych słowach nr. 75-go odpowiada na to pytanie twierdząco. Idzie tu zresztą o załatwienie sprawy, niewymagającej zbyt wielkich wysiłków. „Starożytny kościół w Zwoleniu, dzięki staraniom i zabiegliwości ks. Aleksandra Bąkowskiego, jest już bardzo starannie odnowiony“; ale kaplica, w której spoczywają zwłoki Jana z Czarnolasu, „najopłakańszą“ przedstawia „ruinę.“ Wrota do ofiarności publicznej otwarte. Nie wątpimy, że wejdzie tędy niejeden grosz wdowi, i kryjąca w sobie święte relikwie, a przez „czcigodnego kapłana-obywatela“ na ostatni plan odsunięta, mogiła poety, zyska niebawem podporę do znoszenia pożerczych dotknięć czasu.

(*Kantorowicze*).

Typ, znany powszechnie i w jawnej dyskusyi wzgardzony, znalazł niedawno obrońcę w jednym ze swych uczciwszych (jak mniemamy) przedstawicieli. W korespondencyi, adresowanej do *Kuryera codziennego*, niewiadomy z nazwiska autor, konstatując zagęszczone w świecie finansowym fakty przeniewierstwa pieniężnego, zwala całą winę na barki pryncypałów, którzy swym pracownikom, bez względu na ich specyalne wykształcenie, licho zazwyczaj płacą i należnego odmawiają szacunku. Nieznane nam są bliżej warunki, w jakich ta sfera społeczna zostaje. Jeżeli jednak wyzyskiwanie materyalne w związku z lekceważeniem rzeczywiście obciąża dolę kantorzysty, to trudno wywodom wszelkiej odmówić podstawy. Niedostatek i wzgarda były zawsze i są ważnymi czynnikami demoralizacyi, którą łatwiej, naturalnie, na młodych łodygach, niż na starych pniach zaszczepić. Zwierzchnicy, działając w imię własnego interesu, powinniby względem swych pomocników, przeważnie małoletnich, odegrać rolę — jeśli nie wzorowych, to przynajmniej starannych wychowawców. Ale czy zdołają do takiej dorość skali?

Wypadki przeniewierstwa pieniężnego są dziś zresztą na porządku dziennym — nietylko w kantorach bankierskich. Grzyb to potworny, spłodzony przez ducha czasu na ciele społecznem, a domagający się energicznej operacyi.

(*Zakłady wychowawczo-naukowe*).

Z początkiem przyszłego miesiąca zostanie otwarty w Warszawie zakład wychowawczo-filantropijny dla dwunastu sierot po rzemieślnikach i robotnikach. Fundatorami nowej instytucyi są baronostwo Lenval. Zarząd przytułku troszczyć się będzie nietylko o zdrowie i utrzymanie, ale nadto o wychowanie moralne i wykształcenie zawodowe biednych pacholąt. Starsze dzieci pracować mają w terminach, u majstrów, na mocy zawieranych przez zarząd kontraktów; młodsze, pod kierunkiem odpowiednich przewodników, zajmą się gimnastyką, oraz nauką korespondencyi, rysunków i buchalteryi. Zdolniejsi nakoniec z pomiędzy wychowańców mają przed sobą widoki podróży zagranicznej dla wydoskonalenia się w rzemiośle. Piękna to i godna pielęgnowania latorośl. Oby jej tylko nie zagłuszyły chwasty ciasnego egoizmu! Zamożni „ojcowie“ narodu, macie pole do czynu. Starajcie się rozszerzyć ściany instytucyi, wzbogacić, o ile można, program wychowawczo naukowy, a dbając o wybór „mistrzów,“ mądrą nad nimi rozciągnąć kontrolę.

(*Areszt szkolny*).

Doświadczeni wychowawcy wiedzą dobrze, jak smutne nieraz następstwa pociąga za sobą nadużycie kary szkolnej, zwanej popularnie „kozą,“ a oficyalnie „karcerem“ lub „aresztem“ — zwłaszcza, gdy nad zamkniętymi ojcowskie nie czuwa oko. Przynosi ona często dzieciom gorzkie w zysku owoce — utratę zdrowia lub kalectwo etyczne, którego później najwymowniejsza nie zatrze przestroga. Oto jaki wypadek w rubryce wiadomości bieżących zanotowała pod dniem 17 września *Gazeta lubelska*. „Dzieci, zamknięte na klucz w szkole (początkowej), poruszyły widać kran od gazu, który też wkrótce napełnił pokój, sprawiając duszenie się malców. Na szczęście jeden z chłopców, pojmujący następstwa, otworzył lufcik i zaczął wołać przechodniów na pomoc, którzy, przybywszy na górę, wysadzili drzwi zamknięte z zewnątrz i ocalili dziatwę od niechybnego uduszenia.“

Znałem pedagoga, który tak dalece czuł wstręt do tego rodzaju kary, że z własnej woli nigdy nią wychowańców nie dotykał. Zapytany o przyczynę, opowiedział mi następny z własnego życia epizod. „Mając lat 7, chodziłem do szkółki elementarnej, ulokowanej w domku drewnianym, śród ogrodu, a odległym od naszego mieszkania o parę set kroków. Nauczyciel, człowiek młody, odznaczał się, o ile pamiętam, bardzo zmiennym humorem. Raz, nie wiem już za co, zamknął mię do ciemnej komory, która mu za skład na kartofle służyła. Zamknął, i przez jakiś czas chodził szybko po izbie przyległej. Z początku stałem u drzwi zawartych i płakałem, prosząc naprózno o zmiłowanie. Potem usiadłem na podłodze i wydobywszy z kieszeni zachowany ze śniadania kawałek obwarzanka, posilałem się i jedzeniem pocieszałem w nieszczęściu. Następnie przypomniawszy sobie Robinsona Kruzoe, którego podówczas czytałem, począłem sobie wyobrażać, że jestem samowładnym panem ciemnego pustkowia. Ta myśl mię rozweseliła. Ale cóż?—nie było czem gospodarować: oprócz kartofli i starej miotły, w komórce żadnych nie znalazłem ruchomości. Ze świata zwierzęcego — nic — myszy nawet w swych norach siedziały spokojnie... Nauczyciel ustawicznie po pokoju chodził. Jeszcze się raz do drzwi zbliżyłem, prosząc o litość; ale gdy mi nie odpowiedział, usiadłem w kącie — potem się położyłem, używając własnego łokcia za poduszkę, i niepostrzeżenie... zasnąłem. Jak długo to trwało, nie wiem. Narazie budzi mię jakiś szum, i zdaje mi się, jakoby cała gromada ludzi, czy innych istot przesypywała kartofle z jednego kąta komórki w drugi. Później powiedziano mi, że to szczury tak gospodarowały, ośmielone snem moim i nieobecnością pana profesora. Ja wówczas tego zrozumieć nie mogłem. Przestraszony, począłem rozpaczliwie krzyczeć. Taczanie kartoflami ustało; ale cisza zupełna i ciemność napełniały mię trwogą. Odgłosu kroków mego wychowawcy już nie słyszałem. Rozpacz dochodziła do ostatecznych granic... Z tego okropnego położenia wyratował mię dopiero dziadek, który przypadkiem koło domu przechodząc, usłyszał mój głos, a przekonawszy się, skąd pochodzi, wyłamał okno, wywalił drzwi, prowadzące do komórki, i wyniósł wnuka na świeże powietrze, zapłakanego i dygocącego ze strachu. Wypadek ten żywo się odbił w mojej wyobraźni. Jakże więc żądać ode mnie możecie, bym dzieci na podobne wystawiał tortury?“

Sławój.

BADANIA NAUKOWE.

ZAGADNIENIA ANTROPOLOGICZNE.

II.

Rodowód ludzki. — Tegoczesne różnice rasowe w ogólnych zarysach istniały już śród anthropopithekusów. — Rasy niższe i wyższe. — Przepaść pomiędzy rasami co do umysłowości musi się zwiększać w dalszym rozwoju człowieczeństwa. — Jakie stanowisko zajmą w przyszłości grupy wyższe względem niższych. — Kwestya „aryjska“ i przeciwstawienie jej przez Lapouge'a dążeniom narodowościowym.

W artykule poprzednim popełniliśmy pewną niedokładność: mówiliśmy bowiem o rodzie ludzkim, jak gdyby przedstawiał masę jednolitą. Wspomnieliśmy jedynie o istnieniu różnego stopnia uzdolnień duchowych. W rzeczywistości wszakże spostrzegamy coś zgoła odmiennego. „Ludzkość“ rozpada się na liczne szczepy, a odległość pomiędzy nimi jest tak znaczną, iż wybitniejsi antropolodzy nie wahają się przyrównywać ją do przepaści, oddzielającej np. żebrę od konia lub szympansa od orangutanga. Co więcej, względy lingwistyczne z całą mocą zmuszają do przyjęcia wniosku, że już pod zdobyciem mowy, na stopniu anthropopithekusa, istniały obecne różnice rasowe. Rasy tegoczesne, na które rozpada się ludzkość, byłyby w tym razie spadkiem jeszcze po zwierzęcych fazach rozwoju. Samo ukazanie się rodu ludzkiego, dopełniło się prawdopodobnie w sposób następujący. Mniej więcej w środkowych okresach epoki trzeciorzędowej tułały się po globie ziemskim liczne gromady anthropopithekusów, różniące się wzajemnie nietylko cechami fizycznemi (obfitością uwłosienia, barwą skóry, pokrytej zresztą włosami, różnymi wymiarami kostnymi itd.), lecz i przedsiębiorczością, inteligencyą, zdolnościami uczuciowemi itd. Mortillet, znana powaga na polu archeologii i paleontologii, nie waha się przyjąć dla trzeciorzędowej Europy trzech odmian naszego praprzodka (A. Bourgeoisii z Thenay, A. Ramesii z Puy-Courny i A. Ribeizoi z Portugalii). Skutkiem rozwoju, zwłaszcza w dziedzinie mózgu, różne postacie anthropopithekusów przyjmowały coraz bardziej kształty człowieka. Ród ludzki ukazałby się tedy w licznych okolicach globu ziemskiego. Rozstrzygnięcia oczekuje tylko pytanie, zresztą znaczenia czysto teoretycznego, o wzajemnem pokrewieństwie tych różnych typów anthropopithekusa, mianowicie: czy wyszły one z jednej wspólnej formy, czy przeciwnie były wynikami kilku odrębnych przemian wśród pierwotnie zgoła niepokrewnych gatunków zwierzęcych. Być może, obecne rasy przedstawiają ostatnie ogniwa procesów rozwojowych, coraz bardziej rozbieżnych we względzie morfologicznym, im głębiej zanurzamy się w przeszłość. Spory dawne monofyletystów z polyfyletystami sprowadziły się właśnie do rozjaśnienia tej tajemnicy, na którą zresztą w obecnym stanie nauki niepodobna odpowiedzieć, jak to przyznał Topinard na tegorocznych wykładach w paryskiej szkole antropologicznej. Czy teraźniejsza ludzkość przedstawia kształty powstałe ze zróżniczkowania się jakiejś formy wspólnej, lecz jeszcze na szczeblu zwierzęcym, czy przeciwnie wyłoniła się z gatunków zwierzęcych, bardziej różniących się od siebie niż obecne rasy ludzkie, udzielenie na to takiej lub innej odpowiedzi jest stanowczo rzeczą gustu.

Cokolwiekbądź jednak, o teraźniejszości rozstrzyga nie przeszłość, lecz żywe fakty. Takim faktem jest istnienie głębokich różnic pomiędzy oddzielnemi grupami tegoczesnej ludzkości. Że skandynawczyk posiada białą cerę, długie i miękkie włosy, murzyn zaś ma czarną barwę, krótkie czarne włosy i silnie szczękoskośną twarz, różnice te — lubo zwykle mówi się tylko o nich — są najmniej ważnemi i najmniej znaczącemi. Że w budowie szkieletu niepodobna znaleźć żadnego szczegółu (nawet w zakresie składu chemicznego), któryby był jednakowo ukształtowany u obu owych ras, o tem już wspomina się rzadziej. Zdobycze świeższej, lecz szybko postępującej nauki — geografii medycznej, jak zowią ją jedni, patologii rasowej, według innych — rzucają jaśniejsze światło. Okazuje się, iż przebieg pojedynczych chorób bywa odmiennym wśród różnych ras, a sama wrażliwość na rozmaite zarazki chorobliwe niejednakową. Gdzie podłużnogłowy blondyn pada ofiarą miazmatów błotnych, tam czarne dziecię Afryki cieszy się jak najlepszem zdrowiem. Lecz oto najwymowniejsze świadectwo. Jad syfilityczny, wszczepiony w organizm murzyński, wywołuje szczególnego rodzaju chorobę — pian, w niczem nieprzypominającą europejskiej zarazy wenerycznej, tak, iż w początkach medycy sądzili, iż mają do czynienia z chorobą w Europie nieznaną. Dopiero stałe zamienianie się europejskiego syfilisu w organizmie murzyńskim na pian, piana zaś w europejskim na syfilis, wskazało istotę rzeczy. A zatem ten sam zarazek wywołuje różne skutki w odmiennych naturach rasowych. Mniejsza zresztą o różnice morfologiczne i histologiczne. Płaskie nosy, cuchnący pot i szczególnego rodzaju zachowanie się względem chorób nie wiele ważą w dziejach postępu. Atoli nie koniec na tem. Zwróćmy się ku dziedzinie zjawisk duchowych i zacznijmy od lingwistyki. Prof. Gumplowicz w *Systemie socyologii*, dla wytłomaczenia genezy mowy, stawia hypotezę „przypadku.“ Panowanie wszakże w jakimś języku znanych dźwięków prostych lub dźwiękowych skojarzeń bynajmniej nie jest dziełem przypadku. Tak np. dlaczego mówimy chociażby *c* tam, gdzie wielkorus powiada *t*, to zawisło wprost od czynników fizycznych — różnego ukształtowania niektórych organów wymawiania, sprawiającego, iż ze szczególną siłą wydechową wygłaszamy dźwięk *j*. Takie silnie wydechowo *j* przechodzi w *s*, i oto zamiast *t* + *j* — otrzymujemy *t* + *s*, czyli *c* (np. wielko-ruskie „tjëta“ przechodzi w „tjsëtka“ a następnie w „ciotka“). Badania lingwistyczne wykazują, że jedne grupy ludzkości nie są w stanie wymawiać dźwięków, właściwych innym. Maorzy z N. Zelandyi posiadają jedynie 9 dźwięków spółgłoskowych (*k*, *t*, *p*, *ng*, *n*, *m*, *h*, *w*, *r*). Przyswojone wyrazy europejskie zmieniają oni uprzednio do niepoznania. Angielskie „William“ przeinaczają na „Wiremu;“ niemieckie „Friedrich“ — na „Waritarihi.“ Podobnież i prawa fonetyczne pochodzenia dźwięków są niejednakowe; niektóre brzmią wprost po cudacku dla ucha europejskiego. U ba-ntów np. *d* przechodzi w *l*, *r*, *nd*; *v* — w *w*, *b*, *r*, *s*, *f* — itd. Niepodobna chyba znaleźć wymowniejszego dowodu co do odmiennego ukształtowania organów wymawiania. Fakty te posiadają wielkie znaczenie praktyczne, dowodzą one niemożliwości jakiegoś wspólnego języka dla wszystkich grup tegoczesnej ludzkości. Nawet gdyby coś podobnego mogło się stać, ów wspólny język, pod wpływem odrębnego fizyologicznego ukształtowania organów wymawiania, po kilku pokoleniach zróżniczkowałby się odpowiednio.

Lecz są jeszcze inne świadectwa, wykazujące odmienność samych procesów myślenia. Punkt ten najbardziej rzuca się w oczy, jeśli porównywać będziemy języki indo-germańskie z amerykańskimi. Kiedy u nas stosunek orzeczenia do podmiotu tworzy rusztowanie zdania, u amerykanów opiera się ono na stosunku dopełniacza do pojęcia dopełnianego. Fr. Müller, jeden z bezstronniejszych a zarazem wybitniejszych badaczów lingwistyczno- etnograficznych, odzywa się z tego powodu: „Ów tryb mowy, wynikający z jednostronnego ukształtowania poglądów, musiał odpowiednio wpłynąć na organizacyę myślenia. Nietylko nasze idee, lecz i sam sposób myślenia muszą amerykaninowi wydać się czemś szczególnem i dziwnem. Nasze języki są szatą, niepasującą do właściwego mu wiązania idej, z którą też on nie wie, co począć.“

Uwaga lingwisty wiedeńskiego wprowadza nas w sferę najważniejszego i najcharakterystyczniejszego organu wśród ludzkości — mózgu. Gromadzić dowodów odnośnie do niejednakowego rozwoju maszyny mózgowej u różnych ras nie będziemy, gdyż nie prędko skończylibyśmy. Zauważymy jedynie, że morfologiczna przepaść pomiędzy rasami, jakkolwiek byłaby głęboką, jest jeszcze niewielką w porównaniu z różnicami spadków, otrzymanych po przodkach co do wartości mózgu. Mózg murzyna nie należy do najniższych, jest jednak w porównaniu z europejskim tak lichy, iż żadne oświaty i elementarze nie zapełnią istniejącej otchłani. Bynajmniej nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby i niższe rasy, pod naciskiem walki o byt z przyrodą, nie zdołały kiedyś udoskonalić właściwej sobie maszyny mózgowej — rozwój nikogo nie skazuje na zakrzepnięcie w pewnej formie. Atoli, ileż na to potrzeba czasu! Zresztą, przypuściwszy nawet możliwość jak najszybszego postępu mózgowego wśród niższych szczepów, antropologia słusznie zauważa, iż u murzynów np. w żadnym wypadku nie będzie on szedł tak żwawo, jak u blondynów skandynawskich. Odziedziczanie pewnych znamion jest bowiem tem silniejsze, im więcej pokoleń je wypielęgnowało. Otóż w okresie czasu, kiedy w Skandynawii schodzi kolejno ze świata 5 generacyj, śród murzynów zejdzie 6 (i nawet 7). Rasa murzyńska jest przeto starszą, jeśli wiek obliczać będziemy według ilości generacyj kolejnych, a tem samem bezwładniejszą w trwaniu przy odziedziczonych cechach, np. przy niskiem ukształtowaniu maszyny myślenia. O zrównaniu się umysłowem ras, nawet przy postępie mózgowym każdej, niepodobna marzyć.

I oto stajemy wobec następującego zagadnienia antropologicznego. Ludzkość rozpada się na grupy, przedstawiające różnej wielkości dziedzictwa mózgowe. Przepaść pomiędzy niemi prawdopodobnie nietylko nie będzie się zmniejszała, ale, przeciwnie, są względy, przemawiające za jej wzrastaniem — możliwość, zgoła jeszcze nieoznaczająca, aby postęp mózgowy nie odbywał się i w łonie rasy najniższej. Poczucie wzajemnego związku — „braterstwa w jednej niepodzielnej ludzkości“ — jakkolwiek i obecnie jest słabe, kiedyś musi stać się jeszcze słabszem. Na globie ziemskim znajdą się obok siebie dwa odrębne gatunki: antropotheomorphus Topinarda i Spencera z niezwykle udoskonaloną maszyną mózgową, zwykły obecny ssak dwunożny. W jakiż sposób ukształtują się ich wzajemne stosunki? W zapreszłym roku ukazała się w Niemczech broszurka, doradzająca zaprzężenie niższych typów ludzkich w stałe jarzmo ze świadomą hodowlą dla uczynienia z nich dwunożnego bydła jucznego. Lecz podobne projekty humanizm odrzuca słusznie z całą pogardą. Wierzymy, iż ten prąd uczuciowy spotężnieje jeszcze w przyszłości. Pozostaje inna droga — za pomocą krzyżowania. Sprawa ta jednak nie przedstawia się tak prosto, jak pospolicie mniemamy. Przedewszystkiem, należy nie zapominać, iż, jakeśmy to zauważyli w poprzednim artykule, wszelkie mieszanie niskiego typu mózgu z wysokim sprowadza w zasadzie jedno — upodlenie pierwszego. Podnoszenie ras niższych z ich upośledzonego mózgowo położenia za pośrednictwem krzyżowania wywołałoby roztrwonienie uzdolnień duchowych, nagromadzonych przez nieskończenie wielki szereg pokoleń wśród ras wyższych. Byłaby to dla rodu ludzkiego klęska nie do powetowania. Przytem krzyżowanie nie zawsze stwarza rasę plo-

dną. Antropologia posiada zbyt liczne fakty, pozwalające wnioskować, iż niekiedy w rezultacie otrzymujemy potomstwa fizycznie niezdolne do dalszego rozmnażania się. Słowem, zagadnienie o przepaści międzyrasowej stanie się w przyszłości bardziej palącem, co zaś do dróg jego rozwiązania nie możemy wskazać zgodnej z humanitarnością i będącej z korzyścią dla wyższych szczepów rodu ludzkiego.

Powyższe wywody wprowadzają nas w sferę projektu, z całą siłą wypowiedzianego przez Lapouge'a na jego przeszłorocznych wykładach w uniwersytecie Montpellier'skim a tyczącego się białej ludzkości Europy. Przedtem jednak musimy wynaleźć jakiś probierz dla sądzenia o wyższości umysłowej rasy. Lombroso jako najpierwszą cechę genialności uważa zdolność do zrywania z utartymi poglądami i rutyną tradycyjną. Antropolog francuski przyjmuje to założenie. Odróżnia on kilka rodzajów umysłowości: inicyatorów, co torują człowieczeństwu nowe drogi; ludzi, którzy lubo sami nie odsłaniają nowych widnokręgów, lecz odsłonione natychmiast przywłaszczają i bronią; zdolności trzodowe, odznaczające się często bardzo wielką inteligencyą, ale na wskróś rutyniczne i bierne, pozwalające się wprawdzie wytresować — lecz nic nadto; wreszcie umysły nie dosięgające nawet takiego stopnia. Typy te mogą istnieć i prawdopodobnie istnieją pospołu we wszystkich szczepach rodu ludzkiego. Jednakże ich wzajemny stosunek ilościowy układa się rozmaicie. Im rasa jest wyższą, tem więcej procentowo zawiera osób pierwszego i drugiego typu; im niższą, tem bardziej przeważa ostatni.

Przedsiębiorczość tedy i zdolność do szybkiego wkraczania na nowe tory stanowią o wyższości jakiejś grupy rasowej. Rozpatrując kolejno różne szczepy wraz z ich uzdolnieniami, Lapouge dochodzi do wniosku, iż taką uprzywilejowaną od natury grupą rasową są podłużnogłowi blondyni Europy północnej — „właściwi aryjczycy," gdyż mniema, iż wśród nich ujrzała świat mowa indo-germańska. Stawia przeto projekt, aby te żywioły rasowe, z pomiędzy których wyszły i wychodzą, jego zdaniem, najwybitniejsze postacie pionierów wiedzy i postępu, jednoczyły się z sobą i uświadamiały sobie swe posłannictwo dziejowe — zapanowanie nad globem ziemskim i najhumanitarniejsze usunięcie zeń innych, niższych. Uczony francuski nie wstrzymuje się od wysnucia ostatnich konsekwencyj. Jak wiadomo, ludność „biała" Europy w rzeczywistości przedstawia pomieszanie kilku ras antropologicznych (pięciu według Kollmana). Różne nasze narodowości są jedynie połączeniem odmiennych pierwiastków rasowych w różnym stosunku procentowym *). Tym sposobem właściwi „aryjczycy" znaleźli się w rozmaitych grupach etnicznych Europy, związani solidarnością z rasami, składającemi się na pewną narodowość, lecz natomiast rozdzieleni pomiędzy sobą niewiścią i przesądami narodowymi. Tymczasem interes rasy wymaga wyodrębnienia się ich z pomiędzy innych i wzajemnego poznania i zsolidaryzowania. I oto Lapouge po nad kwestyami narodowościowemi chwili stawia inną — rasowości „aryjskiej" (tj. podłużnogłowych blondynów). W jego mniemaniu, żywioły odpowiednie nietylko winny wydzielić się z grup narodowościowych i skojarzyć dla objęcia panowania nad globem ziemskim, lecz jednocześnie wśród upośledzonych pierwiastków rasowych Europy szerzyć świadomość niższości i krzewić odpowiednie uczucie moralne — za pomocą *self-restraint'u* — unicestwienia swego istnienia odrębnego.

*) Być może, iż to zjednoczenie się odrębnych ras antropologicznych nastąpiło jeszcze na szczeblu anthropopithekoidalnym. Podłużnogłowe i niebieskookie anthropopithekusy, odznaczające się energią i przedsiębiorczością, mogły wprost owładnąć gromadami biernych krótkogłowców i uczynić z nich trzodę ku wypełnianiu swych celów i wypraw. Przynajmniej co do ludności amerykańskiej, mamy wielkie powody mniemania, iż niektóre nienawiści plemienne datują się jeszcze z owych czasów.

Na zakończenie zauważymy, iż podobne poglądy w nauce nie są własnością jakiejś oddzielnej jednostki. Założenia, z których wychodzi ów młody profesor, są wygłaszane przez wielu wybitniejszych antropologów *); żaden jednak nie posiada śmiałości i cywilnej odwagi, aby doprowadzić je do wniosków ostatecznych, jak to uczynił Lapouge.

Lud. Krz.

*) We Francyi Topinard, Hovelacque, Sanson; w Niemczech Penka; we Włoszech Nicolucci; w Anglii Galton, i wielu in.

DOSKONAŁY FONOGRAF

przez T. A. Edisona.

Od czasów Lukrecyusza—ruchy atomów budziły niepospolite zajęcie w umysłach filozofów i ludzi, oddanych wiedzy, a drgania faliste cieplika, światła i głosu zwracały na siebie coraz większą z każdym momentem badaczów nowoczesnych uwagę. Gdy oceniamy te ruchy w stosunku do nauk matematycznych lub muzyki, dochodzimy do idei wynikowej, bliskiej pomysłu Pitagorasa, według którego liczba i harmonia stanowią zasadę wszechświata. W fonografie znajdujemy zaiste dowód tej prawdy, że mowa ludzka podlega prawom liczby, harmonii i rytmu. Za pośrednictwem tych praw możemy dziś notować wszelkiego rodzaju dźwięki i dobitne, rozczłonkowane brzmienia mowy ludzkiej, zdając nawet sprawę z najlżejszych odcieni, z najdelikatniejszych zboczeń głosowych; umiemy oznaczyć punkty i linie, stanowiące równoważnik wysłanych przez wargi przejść tonicznych. Tak postępując, możemy zmusić te ślady do powtórnego oddania głosu, śpiewu i wszystkich zanotowanych szmerów, bez względu na to, czy one należą lub nie, do rzędu tych, jakie nasza organizacya fizyczna pojąć nam pozwala. Podczas gdy nie jesteśmy w stanie ocenić brzmienia, odbijającego na naszym bębenku usznym mniej, niż 16 drgnięć na sekundę, fonograf może zanotować takie, które dają 10, a nawet takie, które nie dosięgają tej liczby. Pozwala nawet podnieść sztucznie—za niski dla nas, ton głosu, i o tyle go zaostrzyć, że wejdzie do zakresu naszej skali muzycznej. Może on również notować drgnięcia donośne, zbyt nagłe, aby bezpośrednio mogły na nas odpowiednie wywrzeć wrażenie, i zwolnić w taki sposób, że staną się dostępnemi i zrozumiałemi.

Dla rzucenia jaśniejszego światła na ogólną teoryę notowania dźwięków, niech mi wolno będzie posłużyć się kilku przykładami. Któż nie podziwiał cudownej łatwości, z jaką najmniejsza zmarszczka wodna, przez wielką falę pchnięta, *zapisuje* na wybrzeżu morskiem każdą ze swych zdobyczy, krętemi granicami linii, której dosięgła, konając na piasku. Kto nie uniósł się podziwem, widząc niepojętą powolność, z jaką drobne ziarnka kwarcu układają się w szeregi prawidłowe, gdy je rozpostrzemy w cienkiej warstwie na gładkiej deseczce, czy na tafli szklanej, i gdy tak przygotowany listek umieścimy na pianinie lub w jego blizkiem sąsiedztwie. Niech tylko zabrzmi muzyka, natychmiast pyłki grupują się automatycznie w pasmo linij krzywych, których zalamy, zależą od melodyi, jaką z instrumentu wydobywają palce artysty. Te dwa doświadczenia dowodzą, jak łatwo cząstki materyi stałej ulegają wpływowi jużto najdelikatniejszych fal wodnych, jużto wytwarzających głos, fal powietrza. Chociaż te spostrzeżenia od bardzo dawna do pospolitych należą, to jednak dopiero w ciągu lat ostatnich powzięto myśl trwałego odbijania dźwięków mowy ludzkiej na ciele stałem — z dokładnością, równą tej, z jaką fala notuje sama dzieje swych ruchów na zdobywanym piasku.

Nie mam potrzeby opowiadać na nowo historyi fonografu. Nadmienię tylko, żem go wynalazł w porze wiosennej r. 1877, i że do r. 1878 zajmowałem się, o ile to było możliwe, innych prac swoich nie przerywając, zbudowaniem kilku aparatów okazowych. Wtedy to zdecydowałem się oddać go pod sąd publiczności. Wszyscy uczeni wyrzekli jednogłośnie, że jest to przyrząd bezwzględnie i niezaprzeczenie nowy. Aparaty te, naturalnie, były cząstkowym tylko wykładnikiem korzyści, jakie wynalazek mój obiecywał zdobyć. To też wziąłem się odważnie do dzieła, chcąc zdać sobie należytą sprawę z tego, jaką formę określoną powinna mieć każda część mechanizmu, i rysowałem wszystkie, rodzące się w umyśle projekty.

Nie mogłem, dla uprzytomnienia ogółowi całego procesu poszukiwań, przerywać sobie co chwila pracy nad udoskonaleniem przyrządu. Ogłosiłem więc w czerwcu rodzaj programu postępów, jakie pragnąłem urzeczywistnić, oraz przewidywanych zastosowań, w mniej lub więcej dalekiej przyszłości.

Rozwój, jaki sobie zdobyły moje prace nad światłem elektrycznem i innymi wynalazkami, pochłonął większą część wolnego czasu i zmonopolizował uwagę. Laboratoryum moje stało się fabryką, otwartą dla ogółu, żądającego oświetlenia; chociaż więc postęp moich studyów fonograficznych nie ustawał, z konieczności musiał być opóźniony. Tymczasem od kilku miesięcy urządziłem pracownię specyalną, w celu wyrabiania różnych części *fonografu doskonałego*, i oddania potem na usługi ludzkie formy idealnej, o jakiej marzyłem od pierwszej chwili odkrycia.

Dość interesujące byłoby porównanie przyrządu, jaki obecnie wyrabiam, z modelami okazowymi, rozrzuconymi po całym świecie w r. 1878. Modele te były to grube i ciężkie machiny, gdzie lekceważono czystość artykulacyi, w celu otrzymania mocnego brzmienia, mogącego napełnić rozległy amfiteatr, gdy odtwarzany głos przechodził przez odbieracza, mającego postać tuby. Znaki wypukłe odbijały się na listku cynowym, a cylinder wprawiała w obrót — już to dłoń kierownika, już to maszynerya zegarowa.

W tej epoce wymyśliłem już motor elektryczny, różniący się od wszystkich innych, a przeznaczony do poruszania fonografu; nie urzeczywistniłem jeszcze wszelako pomysłu aparatu, który obraca w koło cylinder, z należytą regularnością, łatwością i ciszą. Podobnie jak przy doświadczeniach pierwotnych, używałem wosku, i porzuciłem blaszkę cynową. Notowanie słów odbywa się przy pomocy małego rylca, kreślącego znaki na warstwie woskowej, a popychanego drganiami błonki, którą nazwę *zapisywaczem*.

Te drgania pozostawiają po sobie bardzo subtelne, gołem okiem prawie niedostrzegalne ścieżki, które znowu są odtwarzane przy pomocy innej błonki, nazwanej przezemnie *reproduktorem* (odtwarzaczem). *Odtwarzacz* przechodzi na miejsce *zapisywaczek* za sprawą bardzo prostego mechanizmu. Głosu słuchamy po staremu, przysuwając ucho do kończyn tuby. Można zresztą i bez niej się obejść, zajmując miejsce jaknajbliższe warstwy woskowej. Jest tu również mały przyrząd, który po skończonej czynności zaciera ślady znaków tak, aby cylinder był gotów do nowych odcięśnień. Fonograf, raz uregulowany, przy niejakiej ze strony kierownika uwadze,

może, bez naprawy i zmiany, wystarczyć na długi okres doświadczeń. Baterya, umieszczona w wygodnem pudle, pod pulpitem, który ją zamyka, trwać może sześć lub więcej miesięcy, jeżeli się jej nie używa zbyt często, nie potrzebując odnawiania materyałów. Cylinder woskowy służy do 15 lub 20 różnych reprodukcyj, zanim zostanie zużyty; ale jeżeli idzie o zachowanie słów zapisanych, cylinder, oczywiście, musi pozostać nietknięty.

Godne uwagi, że 2500 lat temu asyryjczycy i babilończycy używali cylindrów z gliny palonej, zdobnych w napisy klinowate, w celu utrwalenia wspomnień dziejowych; fonograf także posługuje się cylindrami i pokrywa je mnóstwem karbów kształtu istotnie klinowego; ale różnica tu jest niezmierna. W istocie cylindry woskowe same wszystko wypowiadają. Nie będą one niemymi w ciągu stuleci, aż do czasu, gdy je jakiś Rawlison lub Layard odcyfrować zdoła! Przy końcu XIX-go wieku, władca, mąż stanu, historyk jest mocen uwiecznić swe słowa przez tubę fonograficzną, która tysiąc razy naprzykład może być pomnożona. Każda zaś z tych tysiąca kopij będzie mogła służyć za podstawę do wielokrotnego powtórzenia mowy, raz wypowiedzianej. Słowa, jakie wyrzekł krasomówca, daleka potomność w pierwotnej a żywej postaci usłyszy — wszystkie wyrażenia będą tak świeże, tak pociągające, jakby je sam własnemi wygłaszał usty. Wszystkie utwory muzyki wokalnej i instrumentalnej — sola, duety, tercety, kwartety, śpiewy — zapisuje fonograf z godną podziwu dokładnością, nie gubiąc żadnego z tonicznych odcieni.

W publikacyi, wydanej dziesięć lat temu, przytoczyłem kilka zastosowań praktycznych, do jakich fonograf służyć może, akcentując szczególniej następne:

1) Dyktowanie listów i wszelkiego rodzaju kompozycyi literackich, bez pomocy stenografów.

2) Publikacya książek fonograficznych, z których ociemniali korzystać mogą, bez żadnego ze swej strony wysiłku.

3) Nauka krasomóstwa przez odtwarzanie słów, wyrażających najróżnorodniejsze uczucia, ze sztuką i prawdą, wolną od zarzutu.

4) Reprodukcya utworów muzycznych i śpiewu znakomitych artystów, z całym wdziękiem wytwornej harmonii.

5) Układ archiwów familijnych, oparty na zachowaniu godnych uwagi wyrzeczeń, przestróg i decyzyj członków rodu, a nadewszystko — ostatnich słów umierającego.

6) Fabrykacya pudełek muzycznych, o wiele tańszych i doskonalszych, niż dzisiejsze pozytywki.

7) Konstrukcya zegarów, przypominających porę śniadania, obiadu, kolacyi, przechadzki, spoczynku nocnego, itp. (możnaby w każdym wagonie zaprowadzić fonograf, uwiadamiający podróżnych o nazwie stacyi, do której pociąg dotarł — w szkole i koszarach zastępowałby on miejsce dzwonka i bębna).

8) Nauka języków, prowadzona drogą ścisłego odtwarzania prawidłowych brzmień, trudnych artykulacyj i zwrotów składniowych.

9) *Kształcenie publiczne wogóle* (możnaby fonografować nietylko dźwięki i kombinacye gramatyczne, ale nadto wszelkie wykłady profesorskie, jakiegokolwiek dotyczące przedmiotu, i powtarzać tyle razy, ile potrzeba, aby je w pamięci nazawsze utrwalić).

10) Połączenie fonografu z telefonem — tak, aby ostatni przestał być organem komunikacyj ulotnych, żadnego po sobie niezostawiających śladu.

Dziś fonograf jest w możności odpowiedzieć godnie wszystkim tym różnorodnym zastosowaniom. Winienem dodać, że dzięki łatwości, z jaką ogniskuje i odtwarza wszelki rodzaj muzyki lub deklamacyi, dostarczyć może stałej zabawy chorym oraz wszelkim kółkom towarzyskim lżejszego pokroju. Można powiedzieć, że ilość rozrywek, jaką fonograf, za koszt niewielki, obiecuje choremu, jest niewyczerpana. Grę orkiestry, a nawet oper całych notuje on na swym cylindrze. Głos Patti, śpiewającej w Anglii może być słyszany w Ameryce, i dokładnie zachowany, aby go podziwiano i napawano się nim w epoce, gdy po upływie stuleci z wielkiej artystki proch tylko pozostanie. Na czterech cylindrach, mających 8 cali długości i 5 średnicy, jestem w stanie pomieścić pod formą fonograficzną całego *Mikołaja Nickleby* (jeden z najsłynniejszych i najdłuższych romansów Dickensa). Nic nad fonograf nie może dać lepszego uczniom pojęcia o sposobie wymawiania różnych dźwięków ojczystego, a tembardziej cudzoziemskiego języka. Jakiż bowiem system pronuncyacyi *kreślonej* wtajemniczy nas w zagadkową naturę angielskiego *th*, hiszpańskiej *joty*, arabskiego *khr*, paryskiego *r?*

Posiadacz fonografu ma pod ręką—gotowych służyć na skinienie — mówców, kaznodziejów i aktorów sławnych. Nie dziwiłbym się, gdyby po upływie lat niewielu publikowano dzienniki fonograficzne, odciskane na cylindrach z wosku...

Tuby woskowe mogą być przesyłane pocztą w małych pudełkach, jakie kazałem na ten cel zbudować, i umieszczane, po przybyciu do punktu swego przeznaczenia, na innym fonografie, gdzie odtworzą wiązankę głosów — wobec osoby, do której korespondencya jest zaadresowana. Z czasem i biura pocztowe zaopatrzą się w fonografy, by za skromną opłatą służyć tym, którzy ich nie posiadają.

Autorom uśmiecha się chwila, gdy będą mogli, nie potrzebując pióra, atramentu, papieru i światła, chwytać wlot swe pomysły i bezpośrednio, żywym głosem do ogółu przemawiać...

Tymczasowo postanowiono wszystkim fonografom nadać wymiar jednakowy, tak, aby tuba, wyrzнięta w New-Yorku, mogła być umieszczona w Chinach, na cylindrze miedzianym tej samej rozciągłości, i aby można było odtworzyć identycznie wszystkie słowa, odbite na jej powierzchni. Na każdej tubie można zapisać od 800 do 1,000 wyrazów, czyli 5 do 6 kartek druku zwyczajnej szesnastki. W razie potrzeby, naturalnie, zamiast jednej tuby, użyć można kilku. Bezwzględna jednostajność w budowie fonografów— ta sama wszędzie średnica, grubość, ten sam materyał i sposób wyrobu — czynią nowy system korespondowania nader praktycznym dla domów handlowych i organów rządu państwowego.

Dwaj ludzie, połączeni węzłem wspólnej sprawy, mogą rozmawiać ze sobą w jednym fonografie, za pomocą podwójnej tuby. Żadne z ich słów nie zabłądzi do ucha niedyskretnego, a na cylindrze pozostanie autentyczna kopia konferencyi; każda przerwa, potwierdzenie, poddanie myśli, każde zachwianie się w zdaniu — wszystko to na wosku, co do joty, będzie zanotowane. Stosownie do ich woli, rozmowa może być potem napisana, wydrukowana lub inaczej, sposobem mechanicznym, w tysiącach egzemplarzy odbita. Cokolwiekbądź nastąpi, kopia fonograficzna usunie mnóstwo nieporozumień. Fonograf może być w ten sposób użyty na kongresach dyplomatycznych, oraz przy indagacyi, jakiej są poddawani zbrodniarze, wobec trupa swojej ofiary.

Ten sam tryb notowania fonograficznego będzie zapewne z czasem stosowany do rozpraw filozoficznych, literackich i dyalogów najwyższy budzących interes. Fonograf, w stosunku do konwersacyi dokona—śmiało rzec można — tych samych cudów, jakich dokonała gdzieindziej fotografia, odbijając w locie ptaki i kule armatnie. Przedstawi on wszystko, co tylko będzie mógł w tej sferze zanotować — z całą ścisłością, wiernością i bogactwem szczegółów.

Należy pamiętać, że nic mówię tu o zastosowaniach fonografu, możliwych dopiero w mniej lub więcej odległej przyszłości. Wróżby takie już wygłaszałem dziesięć lat temu. Obecnie uważam je za urzeczywistnione. Prawda, że pragnąc skorzystać, jak należy, z wynalazku, potrzeba zapoznać się z nim teoretycznie i praktycznie; ale ta edukacya specyalna jest daleko krótszą od nauki przygotowawczej, jaką przebywa każdy, kto chce wprawić w ruch księgotłocznię lub maszynę do szycia.

Łatwoby mi tu było jeszcze nadmienić o wielu innych zastosowaniach fonografu; ale artykułowi swemu nie mam bynajmniej zamiaru nadawać formy katalogu. Powtórzę tylko, że wynalazek mój przebył epokę swego niemowlęctwa. Można zaprawdę orzec, że jest jeszcze bardzo młodym; ale przyznać zarazem trzeba, iż wróży pełną siły i powodzenia dojrzałość. Kto wie zresztą, czy on swom zjawieniem — mądrości naszego wieku nie zawstydza? Będzie bowiem strzegł wiernie mechanicznej pamięci o rzeczach, o których sami wielokrotnie zapominamy... Będzie więc ważnym czynnikiem w sferze etycznego wychowania ludzkości. Nauczy nas zwracać uwagę na to, co mówimy; daje bowiem następnym pokoleniom władzę słuchania naszego głosu... Oduczy on szafowania pustemi słowami, uczyni nas troskliwszymi o to, co praktyczne i użyteczne—pomoże do udoskonalenia obyczajów, zniesie odległości, dzielące przyjaciół, i na przekór odwiecznej przestrzeni, połączy ich węzłem komunikacyi głosowej.

Tłom. *A.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA MAŁORUSKA.

Zbiorek K. Trylowskiego.

Zbiory poezyj są u nas rzadkością. Od czasu pojawienia się wierszy Myślaka (w r. 1886), o którym owego czasu mówiłem w *Prawdzie*, jako też utworów piszącego te słowa (w r. 1887 p. t. „Z werszyn i wyżyn), zeszyt obecny jest pierwszem czysto wierszowanem wydaniem w literaturze rusińskiej Galicyi. Gdzieindziej możnaby się cieszyć z podobnego faktu, widzieć w nim dowód rozsądnej wstrzemięźliwości. U nas inaczej. U nas rzadkość zjawisk tego rodzaju jest jedynie świadectwem małego rozwoju literatury, małego rozwoju energii roboczej u autorów i poetów, którzy — pomijając nawet to, że wiersze swe piszą bez studyów nad treścią i formą, sypią z rękawa i rzucają na wiatr — produkują ich tak mało, że w dziesięciu latach zaledwie zbierze się na tomik. A jeżeli się zbierze, to ileż w nim będzie plewy, przeżuwania jednej i tej samej myśli, lub po prostu bezmyślnych frazesów! Najlepszy przykład widzieliśmy w poezyach Myślaka, które dziwnym zbiegiem okoliczności w ostatnim czasie znalazły aż dwóch zapalonych chwalców — jezuitę w krakowskim *Przeglądzie powszechnym* i ks. dr. Ogonowskiego w jego historyi literatury rusińskiej.

P. Trylowski należy do najmłodszej generacyi rusinów galicyjskich i ulega wpływowi tej szkoły z 7 dziesiątka lat, która główną uwagę zwróciła na sprawy społeczne i na realny kierunek w literaturze. Autor znany jest jako popularny publicysta, który zwłaszcza żywo zajmuje się czytelniami ludowemi i praktyczne podaje dla nich rady w pisemku *Bukowyna*, a także w innych czasopismach rusińskich i polskich liczne umieszcza korespondencye o życiu i potrzebach ludu. Poetyczne rze-

miosło jest więc u niego niejako „przemysłem domowym,“ prowadzonym w wolnych chwilach i dla własnego użytku. Do wystąpienia na polu poetycznem skłoniła go wielka posucha i wrodzona chęć do inicyatywy. Zebrał więc kilkanaście utworów własnych i swych „najmłodszych“ kolegów, nieznanych dotychczas i tak złożył się zeszycik obecny, niewielkiej wartości literackiej, ale bądź co bądź żywy i korzystnie świadczący o myślach i dążnościach naszej najmłodszej generacyi.

Wypowiada się ona ustami p. Trylowskiego w wierszu wstępnym z entuzyazmem. Mniej tego entuzyazmu, ale więcej chęci do cichej, wytrwałej pracy okazuje inny poeta, Ołeksa K-a, gdy twierdzi, że tam, gdzie mądrze rządzą sami sobą, gdzie każdy zgodnie gotów jest złożyć siłę i pracę dla szczęścia narodu i iść, jak wiecznie świecące bryły pewnym, niezmiennym i niewstrzymanym biegiem, umrzeć lub dojść do celu — tam słońce wolności i oświaty wciąż świecić będzie nad narodem.“ Że z nieuniknioną przy wieku i doświadczeniu autora dozą naiwności miesza się tu dużo szczerego zapału i pragnienia dobra ogólnego, o tem świadczy już sam język, choć niepozbawiony retoryki, ale wolny od pustych frazesów, którymi tak często błyszczeć lubią poeci szkoły idealistycznej.

Prócz rzeczy patryotycznych (niektóre z nich są wcale słabe, jak np. tylko co wzmiankowanego Ołeksy K-y poemacik „Śmierć hetmana Pawluka“), znajdujemy w zbiorku parę udatnych wierszyków, malujących nastrój osobisty. Oto dosłowny przekład pięknego wiersza „Tęsknota,“ podpisanego literami J. Ż. „Nieraz w samotnej godzinie, gdy smutek duszę przygniecie, unosi mię chorego tęsknota do miłych stron ojczystych. I oto niby przed oczami wynurza się dom znajomy, i stare lipy na uboczu szeleszczą nad nim. Cichy wieczór; powietrze nasycone pachnącem kwieciem lipowem, pełny miesiąc kołysze się na rzeczułce cudnym swym blaskiem. Srebrnem światłem oblana sterczy czereśnia nad bramą, a pod nią stoi młodzieniec w rozmowie z kochaną dziewczyną.“ I nic więcej. Jak widzimy, wszystko to są rzeczy stare: i figury, i rysy, i barwy, a przecież całość robi wrażenie bardzo miłe z powodu swej prostoty i rozpłynięcia się indywidualności autora w obrazie przyrody. Przyroda nie jest tu dekoracyą własnych patryotycznych lub filozoficznych poglądów poety, ale odmalowana jest sama dla siebie, z własną fizyognomią i własną duszą. Taką zdolność zagłębiania się w świat zewnętrzny uważam za dobry znak i za początek końca tego patryotycznego rymotwórstwa, które od dawna zabija całą poezyę galicyjsko-rusińską.

Co prawda, najpiękniejsze rzeczy w obecnym zbiorku są pochodzenia nie galicyjskiego, ale ukraińskiego. Pomijam tu jednak udatną piosenkę Cezarka p. t. „Tędy“ i wiersz W. Czajczenki „Znowu burza“; ten ostatni mimo pięknej formy z wyżej wskazanych powodów uważam za mniej udatny i należący do owego nieszczęsnego "Bardengebrüll," który grasuje i na Ukrainie wcale nie gorzej, niż w Galicyi. Chciałbym głównie zwrócić uwagę na prześliczną legendę niewiadomego autora (ukraińca) p. t. „Kudejar.“ Jest to samodzielne opracowanie podania ludowego o wielkim grzeszniku i jego ciężkiej pokucie. Ściślej rzecz biorąc, autor ukraiński obrobił to podanie nie w tych zarysach, w jakich je lud powtarza (zob. np. Kulisza „Zapiski o jużnoj Rusi), ale w tej formie, jaką jej nadał poeta ruski Nekrasow w swym wierszu „Powiest' o dwuch wielikich grieszników,“ który w swoim czasie żywo był rozbierany przez krytykę ruską. Otóż poeta ukraiński, wziąwszy wątek od Nekrasowa, rozwinął go oryginalnie i rzec można — świetnie. Kudejar jest osławionym rozbójnikiem, w którym na starość budzi się sumienie. Próbuje on naprzód odwieść swych towarzyszów od krwawego rzemiosła i nawrócić ich na drogę uczciwości, ci jednak uznają go za waryata. Następnie po nocy spędzonej na modlitwie, zasypia i widzi we śnie jakiegoś starca, który mu każe iść w oznaczone miejsce, wyszukać ogromny dąb i ściąć tym samym nożem, którym tylu ludzi pomordował. Kudejar wyrusza w drogę, bierze się do roboty, wkrótce jednak spostrzega, że praca ta jest nad jego siły. Olbrzymi dąb urąga jego wysiłkom, nóż przytępiony wypada z jego rąk, kukułka wróży mu bliską śmierć, i rozpacz zaczyna ogarniać duszę rozbójnika. W tej chwili nadjeżdża powóz, z którego wyskakuje pan, zwabiony ku drzewu niezwykłym widokiem dziada. Gdy Kudejar opowiedział mu swe dzieje i cierpienie, pan roześmiał się na całe gardło. „Jakiż ty głupiec! — woła. Czy to stara baba cię przestraszyła, czy twój własny rozum? Spojrz na mnie, jak żyję na świecie!“ I w słowach, pełnych cynizmu, maluje mu życie pana „kriepostnika,“ znęcanie się nad poddanymi i wysysanie ich soków żywotnych. Taki bezwstyd oburzył starego zbójcę. Chwycił on za nóż i zatopił go w pańskiem gardle. W tej chwili zatrzeszczał olbrzymi dąb i padł na ziemię. Ponura ta legenda, wyostrzona jak sztylet w sercu poety „zemsty i zgryzoty,“ nie została tutaj wprawdzie złagodzoną — autor ukraiński nie miał powodu jej łagodzić, ale w wielu punktach została lepiej umotywowaną i pozbawioną niektórych zanadto już krwawych i zbytecznych szczegółów. I tak np. Kudejar u Nekrasowa już po przebudzeniu się w nim sumienia ściął głowę swej kochance, którą uwiózł był przedtem z Kijowa, jak gdyby ona była co winną, i zabił asaułę zbójeckiego. U poety ukraińskiego te szczegóły całkiem słusznie odpadły. Sama też forma utworu jest świetną, mimo wiersza nie zupełnie właściwego językowi ukraińskiemu. W pojedynczych rozdziałkach maluje nam autor krótkiemi słowy do głębi przejmujące obrazy psychicznego stanu bohatera, mowa zaś pana, przedstawiającego swe życie śród niewolników, jest prawdziwym wzorem siły; każda zwrotka spada na umysł jak uderzenie młota. Wartoby, żeby który utalentowany tłomacz przyswoił literaturze polskiej ten poemacik — prawdziwą perłę nowszej poezyi ukraińskiej.

Iw. Franko.

TEATR.

Myszka, komedya w trzech aktach, Edwarda Paillerona.

Gdy po wysłuchaniu trzech aktów, z których każdy trwał godzinę, przeciskałem się przez tłum widzów ku drzwiom sali teatralnej, wpadł mi w ucho następny ułamek rozmowy:

— Jakże piękna ta *Myszka!*

— Ach, dziwnie nudna!

— Dlaczego?

Niewiem, jaką na to pytanie dano odpowiedź, bo właśnie tuż z boku w kwaśnogorzkim odezwał się tonie:

— Wiecie co, ta *Myszka*, chociaż niby nowa, jak mi się zdaje, trochę „myszką trąci...“

Wtórowałem potrosze tym cichym zjewaniom pesymizmu mieszczańskiego, i cieszyłem się, że... opuszczam wreszcie przybytek, w którym od godziny 8 do 11 odmieniano słowo „kocham“ wobec licznie zebranej publiczności, na różne sposoby i tempa.

Cała baterya mniej lub więcej dowcipnych, niekiedy wytwornych dyalogów, i uboga, choć zaplątana nieco w kwestyach genealogicznych, fabuła *Myszki* zogniskowywa się w osobie margrabiego Maksymiliana de Simiers, starego kawalera, którego rzemiosłem jest... miłość — nie owa miłość trywialna — kuchenna czy przedpokojowa, lecz pełna dobrego tonu, nowożytno-rycerska. Nagłówek zatem taki, jak *Le vieux garçon*, bardziejby może przystawał do obecnej komedyi, niż *La souris*, przezwisko Marty, ładnego kopciuszka, pełnej ukrytego ognia różyczki, w wazoniku klasztornym wyhodowanej.

Od początku do końca sztuki patrzymy na salonik wiejski, z ukazującym się wdali krajobrazem, od początku do końca mamy przed sobą szczupłe gronko osób, złożone z pięciu kobiet i jednego mężczyzny, który jako przedmiot stałych zabiegów reszty towarzystwa, ani na chwilę nie wychodzi ze środka obrazu. Komedya więc prawie w zupełności odpowiada zapomnianemu przepisowi zeszłowiecznej estetyki:

„Qu'en un jour, en un lieu un seul fait accompli
Tienne jusqu' à la fin le théâtre rempli.“

Hrabina Klotylda (p. Noiret), niegdyś podobno lwica salonów paryskich, nie zaznała dobrego losu w małżeństwie. Mąż, zużyty rozpustą, gaśnie, zdala od widowni, w jakimś domu obłąkanych, a cień jego jest w pierwszym akcie przeszkodą do szczęścia hrabiny, która widocznie kocha jedynego w tym świecie mężczyznę, Maksyma de Simiers (p. Leszczyńskiego). Poczucie obowiązku i taktu towarzyskiego każe zachować tej pani wszelkie pozory przyzwoitości, wobec nadskakującego jej kawalera w starym stylu. Na wieść o skonie małżonka (o czem widz przy końcu dopiero się dowiaduje) Klotylda wyjeżdża. Powróciwszy z krótkiej podróży, w ustosunkowaniu osób, a raczej w nastroju moralnym margrabiego ważną zastaje zmianę. Szczęśliwy losu wybraniec, którego ona, a wraz z nią całe grono, niewiadomo, dlaczego, „zacnym i uczciwym“ nazywa, odkrył niespodzianie zdrój żywej wody... w sercu milczącej dotąd „Myszki“ (p. Czaki). Hrabina, która kocha Martę, jak swą córkę własną, przy pierwszem wejściu do salonu spostrzega w półświetle wieczornem dwa cienie, usuwające się szybko w różne strony — cień mężczyzny i kobiety. W pierwszym odgaduje z łatwością Maksyma... „Bo ktożby mógł być inny?“ („do tej owczarni,“ jak mówił ksiądz proboszcz, jedne go tylko „wpuszczono wilka“). „Ale z kim?— z Pepą (p. Lude), czy z baronową Herminią (p. Barszczewską)?“— "Byle tylko nie *ona*, byle tylko nie Marta!“ — szepnęła do siebie w przerażeniu — a widz, któremu złe języki goszczących w domu wiejskim paryżanek z „półświatka“ salonowego nie omieszkały powiedzieć o swobodnem niegdyś życiu Klotyldy, zelektryzowany nieco, domyśla się jakichś okropnych wobec danej sytuacyi powikłań genealogicznych (znajomość bowiem hrabiny z margrabią zgubiła datę swego zawiązku, a „Myszka,“ dla której Klotylda była matką po duchu i sercu — miała dopiero lat 18...). Ale, na szczęście, wszystko dobrze się kończy. Uwydatniony w środkowej części komedyi, rozwój akcyi słabnie przy końcu i na mieliźnie osiada. Klotylda *poświęca się* dla dobra swej wychowanki — ku wielkiemu zadowoleniu naiwnych dziewcząteк i pięćdziesięcioletnich niewolników Erosa.

Margrabia przedstawia rzadki już dzisiaj typ dalekiego od rozpusty, uprawiacza „miłości.“ Aż do efektownej sceny z młodziutką Martą, w półcieniu księżycowem— tęskni on widocznie za minioną młodością, i choć się do lat swych nie przyznaje, spostrzega z żalem, jak płeć piękna dla niego obojętnieje, jak go lekceważy i już nie czaruje zapału, lecz mdłą „przyjaźnią częstuje.“ Marta nakoniec — to bardzo jeszcze pospolity, choć ponętny okaz dziewczęcia, zmuszonej wadliwem wychowaniem taić się z własnemi myślami i uczuciami, zamykać je i więzić pod maską milczącej pokory, dopóki okoliczności nie poruszą nim, długo w organizmie duchowym składanych i nie

wywołają nagłego wybuchu. Wówczas rzuci się na falę życia, z wszelkim zrywając rachunkiem, a los jej zależeć będzie od tego, w czyich naprzód spocznie ramionach. Młodość wybranego nie stanowi wprawdzie żadnej rękojmi moralnej; ale starość żeniąca się z takim pączkiem — choćby ją niezwiędłe laury zasług od stóp do głów okrywały, wstrętną jest w tem swojem osiadaniu na różanym kwiecie...

Dość ważną, choć drugorzędną rolę w komedyi Paillerona odgrywa pani de Moisand, matka Klotyldy (p. Niewiarowska). Żyje ona jedną tylko myślą: wiedząc, że córka za mąż wyjść nie może, zabiega komicznie nad osłonieniem jej czci niewieściej, i „wprowadzonemu do owczarni wilkowi" (czy z własnego natchnienia, czy też z porady nieobecnego na scenie proboszcza) coraz to nowe podsuwa rozrywki.

Komedya napół idealistycznie nastrojonego, a więc rozbratanego niemal z dzisiejszym realizmem dramaturga, grzeszy słabym rozwojem akcyi i rozpaczliwą monotonnością położeń scenicznych. Te tylko chwile (w drugim i trzecim akcie) żywsza krasi barwa, w których się do rozwiązania intrygi zbliżamy, najefektowniejszą jest niezawodnie rozmowa margrabiego z Martą, wejściem Klotyldy przerwana. Drobnych kwiatów dowcipu tu i owdzie rozsypano nie mało, a w satyrycznem odtwarzaniu półświatka salonowego (Pepa i baronowa) barw przeważnie używano jaskrawych.

Tendencyi w swym utworze autor nie wyraził żadnej — nieśmiemy bowiem jej dopatrywać w demoralizującem rozwiązaniu intrygi. Pięćdziesięcioletni „tatuś" żeni się z osiemnastoletnią „wiochną..." Żeni się — a mógłby być ojcem starszych od niej dziewic! Czyż to nie gorszące?

Wystawa sztuki mało pozostawia do życzenia. Rolę tytułową panna Czaki dobrze pojęła i nader starannie wycieniowała. Gra p. Leszczyńskiego równie jak i p. Niewiarowskiej zdradza wytrawnych w swej sztuce mistrzów. Wolelibyśmy jednak widzieć margrabiego o jakie dziesięć lat młodszym... Wszakże on sam sobie tego życzy — a mniejby to raziło, i związek z dziewczęciem osiemnastoletnią wszedłby w zakres rachunku prawdopodobieństwa. Tak, jak się nam we wtorek ucharakteryzował, wygląda na człowieka, który szósty już dawno rozpoczął krzyżyk. Hrabina Klotylda (p. Noiret) grzeszyła pewną monotonnością w intonacyi, ruchach i wyrazie twarzy, za słabo niekiedy uwydatniając różne przejścia, jakie jej zbieg twardych okoliczności narzucał. Pepa Rimbant (p. Lude), dzięki swej werwie w stylu *rococo*, huczne zbierała oklaski; szkoda tylko, że zawiele było w tem „szarży," a to, co o jej tuszy ciągle mówiono, zostawało w rażącej kolicyi z rzeczywistością.

A. G. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wzrastający zapał do wystawy pięknych kobiet. — Niedojrzałość opinii. — Czem u nas byłby Dumas. — Małoletność wobec zagranicy. — Spowiedź jednego z członków pierwszej polskiej wyprawy do Afryki. — Syn odnajdujący ojca w jednym z handelków. — Miłość rodzicielska zawieszona między Łęczycą a Łomżą. — Władza frazesu. — Przyczynek do biografii Mickiewicza. — Za co nas mają figlarze.

„Konkurs piękności," na który tak szczerze wzdrygały się niektóre z pism naszych, gdy go chciano urządzić w Warszawie, coraz bardziej pochłania ich uwagę, gdy go urządzono w Spaa. Przyznacie mi, że trzeba już bardzo kochać jakąś osobę, rzecz lub ideę, ażeby dla niej dopuścić się kradzieży. Jeżeli tak jest, to wnioskuję, że dziennik, który najbardziej u nas grzmiał i piorunował przeciw otwarciu wystawy pięknych kobiet, uważa ją za najszczytniejszy popis ludzki, gdyż teraz kryjomo przywłaszcza sobie i za swoje ogłasza cudze z niej sprawozdania. Ale nie chodzi mi tu o odsłonięcie plagiatu, który zresztą śmiało i ciągle popełniany bywa przez nasze pisma codzienne, usiłujące tym sposobem bodaj pozornie dorównać zagranicznym obfitością swych własnych doniesień. A. Lange w jednem ze swych dzieł broni błyszczącą nędzę, ludzi biednych a żyjących pokaźnie, gdyż widzi w ich udawaniu szlachetną chęć utrzymania się na wyższym szczeblu zamożności i cywilizacyi (jaki to poczciwy nasz przyjaciel!). Taż sama okoliczność łagodząca usprawiedliwia również nasze dzienniki, które uczuwając szlachetną chęć posiadania swoich korespondentów w każdym zakątku ziemi, chwytają po ciemku cudzych, ukazując ich w przebraniu i masce czytelnikom. Jak rzekłem — nie idzie mi o tę kontrabandę, ale o starannie podtrzymywaną niedojrzałość umysłową, która nie pozwala ani prasie, ani społeczeństwu mieć jasnej i szczerej opinii w najważniejszych sprawach. „Konkurs piękności" w Warszawie, czy w Spaa, jest zabawką małego znaczenia, o której za tydzień lub miesiąc możemy już całkiem zapomnieć; ale my zachowujemy się podobnie wobec wypadków i objawów daleko donioślejszych. Jeżeli one wyrastają na naszym gruncie, pielemy je i złe ziele wyrzucamy za ostatni kopiec; jeżeli na cudzym, sprowadzamy chwaścik na stoły nasze jako przysmak i częstujemy się nim publicznie. Wyobraźmy sobie np., że u nas narodził się A. Dumas (syn) i że napisał szereg utworów, poświęconych rozpuście i wiarołomstwu; co byśmy z nim zrobili! Żadna „zacna" niewiasta nie wzięłaby jego książki do ręki, żaden teatr nie grałby jego komedyi — obarczony wszystkiemi klątwami spoczywałby na dnie piekła w kręgu „pozytywistów warszawskich." Tymczasem jako francuz ma on wstęp do salonów, na deski sceniczne, a ludzie najprawomyślniejsi nie uważają za zmazę dla swych czystych rąk tłomaczenia jego utworów. *Półświatek* ...skiego byłby okropnością, a *Półświatek* Dumasa jest komedyą właściwą dla czytania w rodzinach, tak jak wystawa pięknych kobiet w Warszawie byłaby zgorszeniem, a w Spaa jest „uroczystością wspaniałą." Nie można tej podwójnej miary nazwać inaczej, tylko wielką niedojrzałością umysłową. Pokazuje ona, że my bez cudzej pomocy nie umiemy ocenić, co jest mądrem, uczciwem i pięknem, a co głupiem, bezecnem i szpetnem. Dopiero gdy jakaś myśl lub robota przyjdzie do nas z piętnem zagranicznem, przyjmujemy ją, puszczamy w obieg i chwalimy bez względu, czy to się nazywa: krynoliną, komedyą Dumasa, tiurniurą, impresyonizmem malarskim lub wystawą pięknych kobiet. Nic dziwnego, jeżeli pisma nasze zgodnie ze swemi zasadami sławią lub ganią pewne objawy wszędzie i zawsze; ale co za cel mają w podtrzymywaniu tego nad nami zwierzchnictwa duchowego innych narodów i naszego wobec nich poddaństwa lub małoletności? Niepodobna wyrządzać społeczeństwu większej krzywdy i szkody, niż wmawiając weń ciągle, że o niczem nie powinno mieć własnego zdania i czekać, aż ono doń przyjdzie z zagranicy. W ten sposób nie rozwija się własnego narodu i przeszkadza mu się przyjmować czynny udział w ogólnym postępie cywilizacyi. Prasa nasza wygląda jak rodzona siostra giełdy warszawskiej, która odważa się jedynie na samodzielność w drobiazgach, ale w głównych kursach słucha niewolniczo Berlina; a chociażby nawet dziś oświadczyła, że renta węgierska nic nie warta, jutro po otrzymaniu depesz, gotowa wszystką rentę zakupić. Prawa jednakże zysków pieniężnych są inne, a literackich inne. Co w warszawskiej giełdzie jest naturalnem, to w prasie — dziwnem.

Ponieważ anglicy, niemcy, francuzi urządzają wyprawy do nieznanych części świata, więc i nam, jak żabom, podnoszącym nogi przy podkuwanych koniach, zachciało się przed kilku laty urządzić „*pierwszą* polską wyprawę do Afryki." P. Szolc-Rogoziński tak obałamucił swym planem nawet ludzi poważnych, że chciano dlań otworzyć Kasę Mianowskiego i zbierano składki. Dzięki paru prysznicom z zimnej wody, zapalone głowy ochłodły i niewiele zmarnowano grosza publicznego. Od pierwszej chwili śmiałem się z tej farsy i wróżyłem jej zabawne rozwiązanie. Rzeczywiście łatwo było wróżyć, ale zarazem trudno wywróżyć ściślej. Z wielkich podróżników, którzy mieli „swe imiona zapisać w księdze świata obok Kolumba, Magellana, Livingstone'a, Stanleya," szybko wykluli się naprzód zwykli turyści, którzy nie mieli żadnego przygotowania naukowego i pojęcia o swem zadaniu, a potem — przemysłowcy i handlarze. Do ostatnich czasów wszakże korespondencyami podtrzymywali jeszcze pozór wyprawy naukowej, która kiedyś i gdzieś miała coś odkryć. Nareszcie i ta przejrzysta osłona spadła. Jeden z członków wesołej „ekspedycyi," p. Jawornicki, zamieszcza w *Wieku* długo tłumioną, ale charakterystyczną spowiedź z jej tajemnic, a zarazem oskarżenie, po którem zwłaszcza p. Janikowski, dzielący wawrzyny z p. Szolc-Rogozińskim, zawołać może: „i ty Brutusie przeciwko mnie!" Pomijamy czysto osobiste pretensye, bo nas to nie obchodzi, czy p. Janikowski rzeczywiście podróżował „kosztem" p. Jawornickiego i za to „rzucił na jego imię niekorzystne światło," a siebie „otoczył aureolą wielkości." Podkreślimy natomiast inne punkty. Autor listu twierdzi, że opuścił towarzysza, przekonawszy się o zupełnem jego nieprzygotowaniu do prac podróżniczych. „Owe cele naukowe, o których na wszystkie strony głosi, a na których urzeczywistnienie, pomimo tylokrotnych a szumnych zapowiedzi, każe nam napróżno oczekiwać, ograniczają się obecnie do celów czysto handlowej natury, to jest do cywilizowania murzynów czynnikami przez ludzkość potępionymi — rumem i dżinem... P. J. głosząc w pismach warszawskich o zamiarze badania gór Kryształowych, tajemniczych, jak je nazywa, i obiecując przedwcześnie dla ludzkości masę przeróżnych zdobyczy naukowych, stara się publiczność naszą, nieświadomą najnowszych odkryć w Afryce, albo w błąd wprowadzić, albo też sam na czyjeś słowo wierzy w istotną gór tych tajemniczość." P. Jawornicki objaśnia swego towarzysza, że góry te badali Leur, Manuel Iradier, Osorio i inni. „Widocznie jednak p. J. dzieł podróżniczych, odnoszących się do ostatnich zdobyczy geograficznych w Afryce, nie czytuje wcale, mistyfikując publiczność podróżami swemi po nieznanych krajach."

Oto jest świadectwo, wystawione „pierwszej wyprawie polskiej do Afryki" przez jej zawiedzionego uczestnika, który nie czytywał.... *Prawdy* lub nie wierzył jej ostrzeżeniom, przepowiadającym, że cała ta bomba pęknie śmiechem. Ponieważ onego czasu połów na ruble, mające ulatwić naszym turystom zbadanie jezior Liba i dopływów Konga, (góry Kryształowe wystąpiły dopiero w ostatnim roku) nie udał się, czyli — ponieważ np. Rogoziński i Janikowski jeżdżą sobie między Kamerunem a Warszawą na własny (lub wreszcie na cudzy, ale prywatny) koszt, więc nie wtrącalibyśmy się do ich wycieczek, przemysłu i handlu, gdyby przestali nas durzyć w korespondencyach swoimi zamiarami naukowymi. Bo ostatecznie, cośmy zawinili tym panom, że oni uważają nas ciągle za naiwnych dudków, których można łapać na takie banialuki? Czy sądzą, że my nie rozu-

miemy, jakich ludzi i środków wymaga najmniejsza ekspedycya geograficzna? Czy mniemają, że nam zupełnie jest nieznaną historya odkryć na tem polu? Czy mierząc własną niewiadomością naszą wiedzę przypuszczają, żeśmy tłumem dzieci lub głuptasów, którym lada list z Fernando-Po wysłany zaimponuje? Tak źle nie jest. Jako naród mały, nieoświecony, niebiorący udziału w wyprawach zamorskich, naturalnie nie mamy o nich dokładnego wyobrażenia; ale przecie są między nami ludzie mogący innych objaśnić, że paru ochotników słabo ukształconych i niezaopatrzonych w środki nie przedrze się do wnętrza Afryki i nie dokona tego, na co zdobywają się zaledwie bohaterowie i całe państwa. Niech pp. Szolc-Rogoziński i Janikowski uprawiają kakao i trzcinę cukrową, niech kupują od murzynów ich produkty i sprzedają do Europy — będziemy im w handlu i przemyśle życzyli powodzenia; tylko niech nie usiłują w nas wmówić, że zbadają jeziora Liba lub góry Kryształowe, zwłaszcza że jeszcze nie zbadali... ostatnich zdobyczy geografii.

Jednym z największych wynalazków cywilizacyi byłoby niewątpliwie obmyślenie sposobu ubezpieczania ludzkości od frazesu, który jest jej Mefistofelesem. Pomimo rozumowań i doświadczeń ciągle zdaje nam się, że gdy coś z naciskiem lub zapałem powiemy, to coś odpowiedniego jest lub stanie się. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie — Napoleon myśli o nas — Opatrzność wybrała nas dla spełnienia swych celów — zwyciężymy — odkryjemy wnętrze Afryki — jesteśmy najmoralniejszym narodem świata — bezmyślne a szumne wykrzyki rządziły i rządzą życiem naszem. W każdej epoce mamy jakiś frazes naczelny, który pływa niby rekin i wszystkie zasady lub godła pożera. Obok niego uwijają się drobne rybki, frazesiki, wylęgłe z ikry deklamatorów dziennikarskich i reporterów, powtarzających bajki o „zacnych“ kapłanach, „pięknych“ gosposiach, „dzielnych“ wioślarzach itp. Przed paru laty znalazłem się na jakiejś zabawie dobroczynnej. Nudną rolę biernego świadka urozmaiciłem sobie rozmyślaniem, czy biesiadujące grono można uznać za typowych przedstawicieli ludności warszawskiej i doszedłem do wniosku, że nie, gdyż ludność ta jest daleko urodziwszą. Zwłaszcza najczynniejsze w tańcach kobiety były dokuczliwie brzydkie i budziły we mnie szczerą litość. Nazajutrz czytam w *Kuryerze* sprawozdanie, którego autor między „królowemi balu“ odznacza „jaśniejące wdziękami“ akurat te same szpetne niewiasty. Byłaż to odmienność gustu? Nie, był to frazes, zupełnie podobny do tego, którym zaręczano, że szlachcic zagrodowy równy wojewodzie lub że Napoleon o nas myśli.

Jeden z *Kuryerów* opowiada następujące zdarzenie. Na jarmarku łowickim „w jednym z handelków“ liczne towarzystwo ziemian wiodło ożywioną rozmowę, której przewodniczył p. X. Nagle zbliża się do niego pewien młodzieniec, który uprzednio zapytał o coś szeptem swego sąsiada i mówi:

— Wszak p. Kajetan X.?

— Tak jest.

— W takim razie uściskajmy się, mój ojcze — rzecze młodzian i rzuca mu się na szyję.

Obecnym wkrótce wyjaśniono zagadkę. P. X. rozwiódł się z żoną i musiał syna przy niej zostawić. „Po rozejściu się małżonków w różne strony kraju (zważcie odległość między Łęczycą a Łomżą!), wszelkie stosunki były między nimi zerwane, a chociaż tak syn, jak ojciec, wiedzieli o sobie z listów, kilka razy do roku pisanych, *nigdy* się dotychczas nie spotkali.“ Jeżeli z tego wypadku ktoś zechce w przyszłości wysnuć wzruszający dramat, radzę mu, niech syna lub ojca umieści nieco dalej, w Tyflisie, Władywostoku lub Madrycie. Bo między Łęczycą a Łomżą odległość zbyt mała, ażeby tak długi rozdział i przypadkowe spotkanie się na jarmarku łowickim usprawiedliwić mogła. Nie jest to wszakże koniecznem, gdyż pomiędzy słuchaczami tego dramatu znajdą się ludzie frazesu, którzy szczerze zapłaczą nad tą rzewną sceną „w jednym z handelków.“

Frazes zbogacił nam biografię Mickiewicza nowym szczegółem. Zdarzyło się w Paryżu. Pewnego dnia poeta, zatopiony w myślach, uczuł głód i postanowił wstąpić do restauracyi. Ale ponieważ był zatopiony w myślach, więc zamiast do restauracyi, wszedł do rezury. Siada, bierze gazetę i czyta. Fryzyer okrywa go perkalowym płaszczem i zaczyna strzydz. Mickiewicz, zatopiony w myślach, nie uważa tego, a na pytanie odpowiada: *encore* — jeszcze. Fryzyer strzyże dalej — poeta powtarza ciągle *encore*. Dopiero kiedy wszystkie jego włosy, do których był szczególnie przywiązany, obleciały pod nożyczkami, spostrzegł pomyłkę i nieporozumienie. Proszę rozważyć: poeta jest zatopiony w myślach, ale nie tak daleco, ażeby nie uczuł głodu. Uczuwszy go, znowu zatapia się w myślach o tyle, że rezurę bierze za restauracyę, ale to mu nie przeszkadza czytać. Otrzeźwiony głodem i gazetą, nie dostrzega jednak przyborów fryzyerni, a strzyżenie włosów bierze za jedzenie potraw, gdyż mówi: jeszcze. Mężu, czy niewiasto, która zmyśliłaś tę bajkę, za kogo nas masz, przypuszczając, że w nią uwierzymy? Przewiduję odpowiedź: za zwolenników „pierwszej polskiej wyprawy do Afryki.“ Prawda, daliśmy niejakie prawo figlarzom do wystawiania na próbę naszej łatwowierności, ale powinni oni znać miarę, a nadewszystko szanować pamięć wielkiego poety. Nuż który z jego przyszłych biografów zużytkuje tę anegdotkę; potomni gotowi osądzić, że Mickiewicz był człowiekiem chorym. Psychologia bowiem nie zna takiego zatopienia się w myślach u ludzi zdrowych, któreby im pozwalało czuć głód i czytać gazety, a jednocześnie strzyżenie włosów uważać za jedzenie obiadu. Tylko frazes nieszczęsny i pusty tworzy takie legendy, otaczające bohaterów historyi cudactwami i ten sam frazes, który nie liczy się ani z logiką, ani z prawdopodobieństwem, każe im wierzyć.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Samorząd majątkowy jako zbawienie rolników. — Rada *Rolnika i hodowcy*. — Ważne odkrycie w dziedzinie mlecznej. — Spółka nabiałowa. — Fabryka przetworów owocowych. — Co się dzieje ze sklepami „chrześciańskimi“? — Wiślani spółzawodnicy. — Losy Muzeum pszczelniczego, ks. Ambrożewicz i szkoła dla organistów. — Robotnik przygnieciony i rampy drogi Nadwiślańskiej.

Niech specyaliści od zalet swojskich uspokoją się tem, że nietylko obecnych czasów cechą jest pesymizm względem naszego społeczeństwa. Znano je dobrze w przeszłym wieku, skoro Goltz (1790) opisał Fryderykowi Wilhelmowi polaków w ten sposób: „Dziwny to charakter owego narodu; najmniejsza przeciwność ścina go z nóg, tak dalece, że nawet nie jest już w siłach szukać środków ratunku. Stąd też szczęście zastaje ich najczęściej dziećmi, a klęski, niedola rzadko mężami.“ Nie zestarzało się to zdanie do czasów dzisiejszych. Zajrzyjmy tylko pod strzechy szlacheckie; znajdziemy tam czoła pochmurne i ręce pozałamywane, albo w najlepszym razie wiarę w ślepy los pomyślności, wyczekiwanie miłosierdzia bożego. Wie o tych cechach p. Aleksander Jasiński i ożywiony chęcią przyjścia z pomocą cierpiącym, umieścił obszerny traktat w *Gazecie rolniczej* o *samorządzie* majątkowym. Czego tam niema! Wszystko, oprócz znajomości klasy rolnej i rolnictwa naszego kraju. Oto zasadnicze punkty: Różnica między *rządzonym i rządzącym się* majątkiem — powiada p. J. — jest wielka. W pierwszym odgrywa główną rolę osobistość rządcy lub samego właściciela; działa on tam samowolnie i za pomocą „despotycznego gwałtu: „Ja tak chcę i basta, a nie waszą rzeczą roztrząsać moje rozkazy, ale je wypełniać co do joty i bez wszelkiego rozumowania.“ Przy takim systemie zarządzający lubią się otaczać nie ludźmi fachu, lecz skorymi tylko na rozkazy pochlebcami. Przy zalecanej przez p. J. metodzie postać rzeczy ma się zmienić zupełnie. „Kantor samorządu majątkowego“ przewrot zrobi w całym systemie obecnym. Nawet przy zmianie zarządzającego — twierdzi projektodawca — majątek nie poniesie żadnych strat, samo gospodarstwo nie zmieni swego kierunku, a w przyszłości żadne zamieszanie nie nastąpi, gdyż „dwunastoletni organizacyjny plan gospodarstwa, ułożony według ostatniej lustracyi, a zatwierdzony podpisem właściciela, jest dla biura samorządzącego się majątku tem, czem busola dla marynarza.“ Biuro projektowane przez p. J. ma także prowadzić rachunki, układać plany gospodarowania, opracowywać budżet całoroczny z wykazem przypuszczalnych wydatków, terminów wypłat; kłaść wobec dziedzica nacisk na to, że nawet pieniądze, które do kasy wpływają, stanowią cudzą własność, gdy cały dochód zużywamy. Dobrowolne ograniczenie władzy i samowoli, system samorządu, zdaniem p. J., zaprowadzi niechybnie ład, porządek i dostatek, zabezpieczy dochody, zaoszczędzi zbywający grosz, zaspokoi braki. Ostatecznie zaś wynikiem tego będzie *zamożność*, bo zapanuje *wiara i wypłacalność* właścicieli, a więc i kredyt. Autor tak jest pewny wpływu swego pomysłu, że radzi spieszyć ze zmianą, tem bardziej, że każdy majątek, jak twierdzi — może utrzymać zupełny taki „zarząd,“ składający się z jednego *piśmiennego* człowieka, któryby się jednocześnie znał na rachunkowości i tajemnicach biurowych; dalej z ekonoma, karbowego, gumiennego, leśniczego, ogrodnika itp. W dalszym ciągu p. J. zachwycony swoim projektem, radzi utworzyć przy uniwersytetach katedry nauki administracyjnej, a w szkołach ludowych uczyć dzieci *buchalteryi* (!). Towarzystwom rolniczym zaleca wydawanie podręczników, „wykładających przystępnie prawidła i zasady administracyi.“ W końcu zwraca się do Towarzystwa wolno-ekonomicznego w Petersburgu z prośbą, aby ułożyło kodeks administracyjny dla majątków.

Z całego traktatu znać, że p. Jasiński przy cierpieniu na dyspepsyę, przełknął wielką ilość dzieł ekonomicznych, a nie skosztował logiki. Tym sposobem stał się mimowolnym humorystą, pomimo wyższych dążeń i pragnień. Dowiódł jednocześnie, że należy do typowych rajców, żądających „gremialnej sesyi“ na rozstrzygnięcie pytania, czy lepiej żabę wypłoszyć z sadzawki kijem, czy kamieniem. I ujrzał się na wyżynach z laurowym wieńcem na skroni, a na padole mizernego życia wiejskiego już niema cierpień i jęków; zapanowały wszędzie ład, porządek, dostatek, *zamożność* od czasu, jak obywatele lub ich pełnomocnicy *piśmienni* zasiedli w krzesłach prezesowskich i skupili dokoła siebie ekonomów, karbowych, gumiennych itd., opracowujących budżety roczne, rozstrzygających artykuły kodeksu „Self Gevernemens.“ A hen! dalej gromady dziatwy włościańskiej uczą się buchalteryi. To przyszli członkowie zarządu! Cudowny obraz! Niektóre punkty kodeksu p. Jasieńskiego mogłyby jednak mieć zbawienne zastosowanie w praktyce do marnotrawnych posiadaczy *latyfundyów*, np. opieka nad dochodami. Autor *świetnego* pomysłu tylko zasłyszał o systemie rolnym za granicą, więc nie mógł nawet przeprowadzić paraleli między warunkami i położeniem ekonomicznem u nas a na zachodzie.

Gdyby nie to, byłby może inny kodeks napisał.

Rolnik i hodowca, nie dający się wyprzedzać współzawodniczce, *Gazecie rolniczej*, w radach, zaleca, aby ziemianie o ile możności wstrzymywali się ze sprzedażą zboża. Lepiej — powiada — zapłacić Towarzystwu procent od zaległej raty, lepiej jakimkolwiek sposobami uprosić „krokodyla powiatowego,“ aby zajęcia ruchomości nie czynił, niżeli marnować owoc pracy całorocznej po cenach, jakie obecnie płacą Joski z Rypina. Radzi dalej, aby się nie obałamucać notowaniami targów warszawskich, gdyż się one regulują (plac Witkowskiego) „kierunkiem wiatru i stanem kieszeni młynarzów z pod Woli.“ Bardzo to piękne ostrzeżenie. Coby jednak zrobił tonący, gdyby mu powiedziano: poczekaj cierpliwie, aż przyjdzie dobry pływak, który cię za czub wyciągnie. Przeczytawszy radę organu rolniczego, gorzko się uśmiechnie ten, co sprzedał zboże na pniu, lub taki, co nie posiada „argumentów“ do powstrzymania zapędów krokodylich. A iluż to się znajdzie takich, co obrachowawszy odsetki dla Towarzystwa i wielu innym pomagającym w niedoli, w skrytości ducha uznają ceny Joskowe za jedyną deskę zbawienia.

Z po za szeregu różnorodnych straszydeł, bezustannie nas dręczących, mało kto zwrócił uwagę na wystawę hygieniczną, urządzoną we Lwowie podczas zjazdu przyrodników i lekarzów, gdzie p. Henneberg, właściciel gospodarstwa nabiałowego w Nowym Dworze pod Warszawą, dowiódł, że przewóz mleka w stanie świeżym na wielkie odległości jest rzeczą możliwą. Produkt ten po przebyciu ośmiu mil do Warszawy, tegoż dnia został wysłany do Lwowa. Podróż całą przebył w półtory doby, następnie stał jeszcze całą noc w przechowaniu. Analiza znalazła (trzeciego dnia) mleko „w stanie zupełnie świeżym, zdrowym i przyjemnym do picia.“ Jeszcze po upływie doby, tj. w cztery dni po udoju, zachowało smak naturalny. Całą tajemnicą jest *czystość* i *chłodzenie* za pomocą chłodnika rurkowego. Tymczasem rolnicy narzekają na brak zbytu nabiału w pobliżu swych posiadłości. Zainteresowanie się wytwórców tą sprawą byłoby na czasie wobec tworzącej się nowej spółki nabiałowej w Warszawie. Obejmie ona miejscowości w promieniu trzechmilowym od miasta. Podobno w tym kierunku duch przedsiębiorczy budzi się także w wielu miejscach na prowincyi.

Doniosłym faktem dla przemysłu rolnego jest otwarcie w b. m. fabryki przetworów owocowych pod Radomiem. Założycielem jest p. Porkowski, wychowaniec b. szkoły ogrodniczej w Warszawie. Zakład ten urządzony jest według najnowszych wymagań, posługuje się parą i zatrudnia kilkunastu ludzi. W zakresie fabryki jest: wszelkiego rodzaju susz owocowy, warzywny i kartoflany (dla wojska), marmolady, sery, powidła, octy i musztardy owocowe, w dalszym zaś rozwoju — wina z owoców. P. Perkowski — jak donosi *Gazeta radomska* — otrzymał już zamówienia na dostawę wyrobów swoich do Warszawy, Petersburga, Tomska, oraz prób suszu kartoflanego do *Londynu*. Może tym sposobem sady przynajmniej w promieniu kilkomilowym od suszarni, lekceważone dotąd lub oddawane w niszczącą dzierżawę specyalistom długopołym, nabiorą większego znaczenia i będą znaczną pomocą w rolnictwie. P. Perkowski bodaj jest pierwszym z wychowanców szkoły ogrodniczej, który zdołał na wierzch samodzielnie wypłynąć. Reszta albo przeklęła swój fach, albo została parobkami licho płatnymi, ślepo poddającymi się woli i uwagom chlebodawców-profanów. Łatwo to samo zauważymy w wielu innych zawodach; każdy woli zostać maszyną niewolniczą, niż próbować niezależnie swych sił na polu przedsiębiorczem. Bywają czasem chętni do wyzwolenia się, lecz takich prędko szczupłość środków przera[illegible]. Nieustraszeni zaś najczęściej chodzą na szczudłach, dostarczonych przez sprytnych spekulantów, a gdy „bohater“ runie, okazuje się, iż szczudła były przegniłe. Niedawno notowano „objaw pocieszający“ — dwa „sklepy wiejskie“ w Hrubieszowie, które miały wpłynąć na dobroć i umiarkowaną cenę produktów. Lecz wkrótce *zbawienne* zakłady wdały się w pośrednictwo i... odstręczyły nabywców towaru z drugiej ręki. Z innych miejscowości dochodzą jeszcze smutniejsze wieści. W Żurominie (pow. mławski) „sklep chrześciański“ zwinięto, gdyż mieszczanie i włościanie okoliczni nie bardzo go odwiedzali, przekładając żydów, bo wiedzieli, że ci przypuszczą na mierze, dorzucą na wadze, a nawet obdarzą podarkiem. Właściciel, nie wytrzymawszy takiego współzawodnictwa, przeniósł się do Rypina (bez misyi chrześciańskiej), gdzie mu teraz dobrze idzie. W Żurominie zaś żydzi wrócili do dawnych zwyczajów, a wielu mieszkańców żałuje sklepu, gdzie była waga sprawiedliwa i gatunek towaru lepszy. Owi nasi przedsiębiorcy o dobrych chęciach nie chcą tego zrozumieć, że występowanie w pojedynkę nigdy nie doprowadzi do pomyślnych rezultatów. Otoczeni silnym łańcuchem jednozgodnie działających spekulantów, pierwej czy później zginą w ich uścisku. Tylko siłami zbiorowemi można zmusić przeciwników do środków uczciwych w konkurencyi i stępić ich szkodliwe działanie.

Coś podobnego, jak w Mławskiem, dzieje się między przedsiębiorcami żeglugi parowej na Wiśle. Podobno p. Górnicki daje dorożkarzom kieliszek wódki za każdego pasażera, przywiezionego do przystani, a p. Fajans — pięć kopiejek. Dorożkarze są w niemałym kłopocie, ale w większym podobno będą zapaśnicy wobec przybywającego spółzawodnika, p. Bagramowa, właściciela znacznej liczby statków na kilku rzekach w Cesarstwie. Zbadał on już miejscowe stosunki i przyszedł do wniosku, że można na Wiśle urządzić szybką komunikacyę parostatkami najnowszej konstrukcyi, o płytkiem zagłębieniu.

Muzeum pszczelnicze, świetnie się zrazu zapowiadające, jako dźwignia zaniedbanej gałęzi przemysłu wiejskiego, przeszło w ręce ks. Ambrożewicza w chwili, gdy sława tej instytucyi daleko się rozniosła po kraju. P. Lewicki „zgubnie“ gospodarował, więc się zakład miał odrodzić i udoskonalić pod pieczą księżą. Tymczasem co się stało? Oto ks. Ambrożewicz, właściciel obszernej posesyi zajmowanej przez muzeum, wystąpił do magistratu z prośbą o zezwolenie na przeprowadzenie przez to miejsce trzech nowych ulic, co ułatwi pomysłowemu kapłanowi sprzedaż gruntu z korzyścią. Pszczelarz duchowny zachowa jednak sobie jakąś cząstkę ziemi, gdzie otworzy praktyczne kursy dla *organistów*. Będą więc tam śród drzew rozlegać się pienia kościelne i muzyka organowa, nadto każdy kandydat praktycznie ma poznać ogrodnictwo, pszczelnictwo i hodowlę ryb. Ksiądz-spekulant, nie mogąc nawiązać zerwanej nici tradycyjnego monopolu, tj. zamknąć pszczelnictwa w murach seminaryalnych, umyślił je uwiązać przy braci pasterskiej za pośrednictwem jej czeladzi.

Na drogach wiodących do dworców kolejowych ruch panuje wielki; zewsząd zwożą produkty rolne. Jednocześnie rodzi się kłopot, szczególnie w Lubelskiem—gdzie składać zboże? Naturalnie, że na rampach, kolei Nadwiślańskiej. Przecież ta instytucya, przekładająca towar nad ludzi, powinna być gotową na usługi przemysłowców. Czy tak jest, proszę posłuchać. Niedawno na stacyi towarowej w Chełmie, jeden z robotników najemnych, został przyduszony kilkoma workami, które się nań obsunęły, i poniósł ciężkie obrażenia. Prosty wypadek, kogo tu obwiniać? A jednak poszukajmy przyczyny. Worki układane są na rampie jeden na drugim, często po kilkadziesiąt, w piramidzie. Chcąc je ładować do wagonu, należy zaczynać zdejmować od góry; niepodobna więc przy tem uniknąć, aby się nie zsuwały i nie przygniatały robotników. Nadto, od nacisku pękają one i rozsypują się, przynosząc wielkie szkody właścicielom. Za to żywi się bez przeszkód zbożem rozsypanem ptactwo domowe i trzoda chlewna, która na drodze Nadwiślańskiej większe ma względy niż ludzie.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Warsz. Dniewnik donosi, iż wbrew rusko-pruskiej konwencyi o żegludze na Wiśle, prusacy pobierają oddzielną opłatę za nasze statki, przychodzące do Torunia.

Swiet pisze: „W wyższych sferach rządowych zwrócono szczególną uwagę na to, aby nietylo wyższe, lecz i średnie posady etatowe zajmowane były wyłącznie przez osoby pochodzenia ruskiego i wyznania prawosławnego.“

Do Rady państwa wniesiono projekt zrównania profesorów wyższych specyalnych zakładów naukowych z profesorami uniwersytetów.

Koloniści zagraniczni. *Prawit. Wiest.* zamieszcza rozporządzenie, dotyczące kolonistów zagranicznych, osiadłych w gub. kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej. Według nowych przepisów ci obcokrajowcy, którzy nabyli praw do poddaństwa ruskiego, winni zapisać się do korporacyj włościańskich lub miejskich na ogólnych zasadach. Ci zaś, którzy nie przyjęli poddaństwa, zaliczeni są do najbliższych włości i ponoszą wszelkie ciężary, bez prawa jednak udziału w zebraniach włościańskich. Wyjątek stanowią cudzoziemcy pochodzenia szlacheckiego, lub pozostający w służbie rządowej.

Zarząd kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej zawiadomił całą służbę, że wszelkie depesze telegraficzne, przysyłane z linij do dyrektorów lub naczelników w przedmiocie nagłych potrzeb, jak udzielania urlopów, wypłaty wsparć na pogrzeby itp., uważane dotąd za służbowe, w przyszłości zaliczane będą do telegramów prywatnych, za które należy uiszczać opłatę.

Sądownictwo. *Now. Wrem.* donosi, iż podczas nadchodzącej sesyi jesiennej Rady państwa, wejdzie pod obrady pomiędzy innymi projekt postępowania sądowego w sprawach dotyczących interesów instytucyj rządowych. Mają być ściśle określone terminy stawiennictwa do sądu, podawania skarg apelacyjnych i kasacyjnych. Termin składania skarg incydentalnych będzie dwa razy dłuższy, niż zwykle. Stawienie się w sądzie pełnomocnika instytucyi rządowej dozwolone będzie w ciągu dni 40. Dla wniesienia do sądu dokumentów ze strony pełnomocnika sądowego, naznacza się termin 5-tygodniowy, dla założenia akcyi wzajemnej — miesięczny, dla założenia apelacyi w sądach pokoju — dwumiesięczny. Instytucye rządowe będą miały nadto prawo zawiesić wykonanie uzyskanego przeciw nim na korzyść osoby prywatnej wyroku do rozstrzygnięcia spraw kasacyjnych, z tym jednak warunkiem, że w razie odrzucenia skargi, osoba prywatna otrzyma procenty od całej sumy za czas od zatwierdzenia wyroku. Jeżeli sprawa dotyczy nieruchomości, to winna być zwrócona z dochodem za ten sam czas.

Warsztaty. Zarząd Towarzystwa subjektów handlowych wyznania mojżeszowego przesłał p. prezydentowi miasta do zatwierdzenia projekt warsztatów rzemieślniczych, zakładanych staraniem stowarzyszenia. Przyjmowani będą chłopcy żydzi od lat 13 do 18 z pozostawieniem pierwszeństwa dla dzieci członków Towarzystwa. Kwalifikacye naukowe nie będą wymagane. Nauka rzemiosł bezpłatna. Kurs każdego rzemiosła trzyletni; lekcye odbywać się będą najwyżej 8 godzin dziennie, z wyjątkiem dni galowych i świąt żydowskich. Nauczycielami będą fachowo uzdolnieni majstrowie krajowcy, bez względu, czy należą do cechu lub nie. Początkowo, do czasu powiększenia środków materyalnych warsztatów, lekcyi rysunku nie będzie. O ile okaże się możliwem, uczniowie będą zapisywani do cechów. Zawiadywanie warsztatami obejmie stowarzyszenie za pośrednictwem specyalnej komisyi. Koszt utrzymania warsztatów pokryją zamożniejsi członkowie drogą ofiar dobroczynnych, już przyrzeczonych. Warsztaty mieścić się będą w specyalnie urządzonych, dostate-

cznie opalanych i oświetlonych salonach, wynajętych przez stowarzyszenie. Świadectwa uczniom wydawać będzie zarząd Towarzystwa na zasadzie przedstawień majstrów i komisyi zawiadującej warsztatami.

Żetony, wydawane przez zarządy kolei prywatnych, tracą swe znaczenie z chwilą przejścia kolei na własność skarbu. Postanowiło to ministeryum komunikacyi w porozumieniu z minist. skarbu.

W Charkowie odbył się zjazd właścicieli kopalń węgla z okręgu dońskiego. Celem zjazdu jest wyjaśnienie przyczyn przesilenia węglanego i wynalezienia środków zaradczych na przyszłość.

Z Kazania donoszą, iż w sprawie 43 włościan czuwaszów, oddanych pod sąd wojenny za opór władzy policyjnej, połączony z zabójstwem trzech ludzi występujących w charakterze urzędowym, sąd skazał 17 winnych na karę śmierci przez powieszenie, pozostałych uwolnił. Powodem do buntu były nieporozumienia agrarne pomiędzy dwiema sąsiadującemi gminami.

Loterya fantowa odbyła się w ogrodzie Saskim 22 b. m. na korzyść warszawskiej ochrony Maryjskiej, przy licznym napływie publiczności.

Szkoły. Według *Grażd.*, ministeryum oświaty zajęte jest opracowaniem ściślejszych przepisów dla szkół prywatnych. Pomiędzy innymi uznano, że dopełnienie tylko wymagań formalnych nie jest wystarczającem i postanowiono na przyszłość dozwalać otwierać takie szkoły jedynie tym osobom, które przez pewien czas zajmowały się już praktycznie kształceniem młodzieży.

— *Warsz. Dniewn.* dowiaduje się, że skutkiem starań kuratora okręgu naukowego, przy warszawskiej szkole realnej zamiast istniejącego oddziału mechaniczno-technicznego, polecono otworzyć klasę wyższą dopełniającą, przeznaczoną głównie dla przygotowania uczniów, mających wstąpić do wyższych szkół specyalnych.

— We wszystkich szkołach prywatnych męzkich mają być zaprowadzone posady inspektorów, na których ciążyć będzie odpowiedzialność wobec naczelnego inspektora szkół w razie nieścisłego wykonywania programów szkolnych.

Masaż. Dla zapobieżenia złym skutkom wydano rozporządzenie, aby nikt się nie ważył zajmować masażem, kto nie posiada świadectwa urzędu lekarskiego. Nadto osoby posiadające świadectwo, mogą używać tej metody leczenia jedynie z przepisu pod kontrolą lekarza.

Dyrekcya szczegółowa Tow. kred. ziemsk. w Radomiu, za nieopłacanie rat wystawia na sprzedaż publiczną 58 majątków, obciążonych długami od 1,342 52,788 rs.

W gub. płockiej otwarto kopalnię torfu i węgloku roślinnego pod firmą „Agricola." Zaopatruje ona wyłącznie przedsiębiorców warszawskich.

Pod Łopuszną, w pobliżu miejscowości fabrycznej „Jadwiga," odkryto kopalnie rudy, zawierającej około 45% żelaza.

W Piotrkowie sądzono sprawę roztrwonienia funduszów skarbowych przez byłego buchaltera łódzkiej dyrekcyi naukowej, Grzegorza Petrowa. Świadkowie zeznali, że chociaż podsądny miał tylko rocznie 500 rs. pensyi, hulał i trwonił pieniądze. Śpiewaczka Wieliczko zeznała, że w jej obecności wydał 500 rs. na bankiet dla znajomych. Ponieważ po oskarżeniu Petrowa całą roztrwonioną przezeń sumę zwrócono dyrekcyi naukowej, przeto sąd, z uwagi na przyznanie się podsądnego do winy, skazał go na zapłacenie rs. 100, lub na miesiąc aresztu i wydalenie ze służby rządowej.

Literatura. *Wiestnik Jewropy* w zeszycie wrześniowym zamieszcza rozprawę p. t. „Adam Mickiewicz w Wilnie i Kownie (1815—1824), nowe szczegóły do biografii poety," przez T. Wierzbowskiego.

— *Magazin f. d. Lit.* zamieścił krótkie sprawozdanie z bieżącego ruchu naszego piśmiennictwa.

— *The english illustrated Magazin* drukuje szczegółowy opis Tatr (szczególnie Zakopanego) przez Adama Gielguda, z rysunkami S. Witkiewicza.

Kalendarz „Wieku," jeden z najlepszych pod względem informacyjnym, wyszedł z druku. Część literacka zawiera kilka utworów zręcznych.

Bibliografia. Bogumił Hoff, *Lud cieszyński, obraz etnograficzny* (z ilustracyami), Warszawa, str. 74.

— W. Chcińska, *Nauka przed sądem życia*, Warszawa, str. 16.

Zmarli. Napoleon Ksawery Mańkowski, inżenier, w Görbersdorfie. W r. 1860 pracował w Warszawie przy budowie kolei Petersburskiej. W r. 1871 był posłem do parlamentu niemieckiego. Pisywał luźne artykuły do pism warszawskich i poznańskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. W. Wiśn. w Odesie. Listu Pańskiego nie zamieścimy, gdyż naprzód polemika w tej sprawie została zamkniętą, a powtóre widocznie skutkiem oddalenia od miejsca zajść, dobrze ich Pan nie zna.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Сентября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.